CZWARTEK Nr 13 25 III 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Z dyrektorem – redaktorem naczelnym NASZEJ KSIĘGARNI Czesławem Wiśniewskim

O POCZYTAJKACH, WĄSKIM GARDLE I NIEWYPAŁACH

rozmawia TERESA MACISZEWSKA

– *Panie dyrektorze – „Nasza Księgarnia" Instytut Wydawniczy, którym kieruje pan od trzech lat, obchodziła niedawno swoje sześćdziesięciolecie. Nasza, to znaczy czyja?*

– Założyciele tej instytucji mieli na uwadze dwóch adresatów; nasza, to znaczy nauczycielska, i nasza, to znaczy dziecięca. Jeśli wziąć przy tym pod uwagę fakt, że narodziła się ona zaledwie w trzy lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, to oczywiste stało się, że zarówno książka dla nauczyciela z zakresu teorii i praktyki pedagogicznej, jak podręczniki i czytanki dla ucznia miały wówczas do spełniania rolę zupełnie wyjątkową.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Ten stos książek przed dyrektorem Czesławem Wiśniewskim, na który trudno nie zerknąć łakomym okiem, to tzw. wizja przyszłości. Jeśli spełnią się marzenia dyrektora, taki wybór będzie w każdej księgarni... Fot. **J. Łopuszyński**

ESPANA '82

- **Prezentacja finalistów tegorocznych mistrzostw świata w piłce nożnej**
- **Barwne fotosy drużyn i najlepszych zawodników**
- **Adresy związków piłkarskich**
- **Już dziś, na str. 3, rozpoczynamy nasz wieloodcinkowy cykl materiałów dotyczący najważniejszej imprezy roku – Espana '82!**

NIE TYLKO DLA HOBBISTÓW!

Już dziś rozpoczynamy wieloodcinkowy cykl ilustrowanych materiałów poświęcony prezentacji wszystkich drużyn, które wezmą udział w piłkarskich mistrzostwach świata – Espana '82. Drużyn tych jest 24 i tyleż odcinków zamieścimy na łamach „ŚM". Postaramy się przekazać wam fakty mało znane i zdjęcia, których w kraju jeszcze nikt nie publikował. Całość, po wycięciu i skompletowaniu, utworzy album, który przydać się może nie tylko podczas słuchania i oglądania relacji z hiszpańskich boisk. Aby wasz album wyglądał jeszcze efektowniej zróbcie do niego specjalną okładkę – oczywiście według własnych pomysłów.

Poszczególne zespoły prezentować będziemy w każdym następnym numerze „ŚM", w kolejności alfabetycznej. Przegapienie kupna chociażby jednego egzemplarza gazety zdekompletuje mundialowy album. Życzymy przyjemnej lektury. **(zp)**

MIĘDZYNARODOWY KONKURS RYSUNKOWY pod hasłem „JANUSZ KORCZAK W MOICH OCZACH"

W konkursie, którego organizatorem jest Międzynarodowe Stowarzyszenie im. Janusza Korczaka, mogą brać udział dzieci i młodzież w wieku od 6 do 15 lat. Każdy uczestnik może wykonać jeden lub więcej rysunków na bristolu o formacie nie mniejszym niż 50×60 cm dowolną techniką. Na odwrocie każdego rysunku należy umieścić tytuł pracy, imię i nazwisko, wiek i dokładny adres autora.

Rysunki nadsyłajcie na adres: Międzynarodowe Stowarzyszenie im. Janusza Korczaka, ul. Śniadeckich 17, 00-654 Warszawa. Na kopercie umieśćcie hasło konkursu – „Janusz Korczak w moich oczach". Sąd Konkursowy składający się z pedagogów, znawców sztuki dziecięcej i artystów plastyków, oceniać będzie prace, które nadejdą na powyższy adres do 30 czerwca br. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do 30 września br.

Na rysunkach konkursowych możecie przedstawić wybrany przez siebie epizod z życia Janusza Korczaka, zilustrować którąś z przeczytanych książek przez niego napisanych. O pomoc w wyborze lektur zwróćcie się do swoich wychowawców lub bibliotekarzy.

Identyczne konkursy ogłoszono w wielu krajach świata. Ich organizatorami są Stowarzyszenia i Komitety Korczakowskie.

Uczestnicy ogłoszonego w naszym kraju konkursu mają szansę zdobycia 3 głównych nagród w postaci 10-dniowego pobytu za granicą z dorosłym opiekunem oraz 150 nagród rzeczowych. **(r)**

Uczeń ósmej klasy uratował tonącego chłopca

DZIĘKI WIELKIEJ ODWADZE I BŁYSKAWICZNEJ DECYZJI OCALAŁO DZIECKO!

(PAP). W Zgorzelcu, położonym nad brzegami Nysy Łużyckiej, niedawno jeszcze wskutek przyboru wody nieco rozlanej, wydarzył się 11 lutego br. wypadek, który tylko cudem nie stał się tragiczny.

Otóż 6-letni chłopczyk brodzący samotnie po takim rozlewisku, wpadł do głębokiej wody. Na krzyk kobiety, która zobaczyła z okna, że dziecko tonie, zbiegli się ludzie. Zbyszek Szoma, uczeń 8 klasy Szkoły Podstawowej nr 1 im. gen. Karola Świerczewskiego w Zgorzelcu, nie zastanawiał się ani chwili. Wskoczył do wody, wyciągnął chłopca, po czym wybiegł z nim na ulicę, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i zawiózł nią nieprzytomne już dziecko do szpitala.

Wprawdzie minął od tego wydarzenia już ponad miesiąc, ale „Świat Młodych" odnotowuje tę sprawę – i ku chwale bohaterskiego Zbyszka, i ku przestrodze innym. **(kl)**

UWAGA, Konrad Borkowski z Częstochowy!

Masz oczywiście rację podając w wątpliwość informację pt. „Mniejszy od ziarnka maku", zamieszczoną w „ŚM" z dnia 4 marca 1982 r. Została ona bezkrytycznie przedrukowana za Polską Agencją Prasową.

Nie sądź nas, kochany, tak strasznie surowo; tego typu „knoty" zdarzają się każdej redakcji, choć nikt ich oczywiście nie chce. **(kl)**

KONKURS „WISŁA W STAREJ FOTOGRAFII"

GDAŃSK (PAP). Muzeum Wisły w Tczewie rozpisało konkurs fotograficzny pod hasłem „Wisła w starej fotografii".

W konkursie mogą brać udział osoby indywidualne, jak również zakłady pracy, instytucje i organizacje społeczne, przesyłając zdjęcia o dowolnym formacie i dowolnej tematyce, związane jednak z Wisłą. Mogą to być zatem zdjęcia profesjonalne, amatorskie, pamiątkowe, sytuacyjne, pochodzące z rodzinnych albumów, a także reprodukcje – z zastrzeżeniem, że zostały wykonane przed 1970 rokiem. Zdjęcia należy przesyłać na adres: Muzeum Wisły w Tczewie ul. Dzierżyńskiego 4, 83-110 Tczew w terminie do końca grudnia br.

Posiadacze najciekawszych zdjęć otrzymają wyróżnienia i nagrody. Zgromadzone w konkursie fotografie będą eksponowane na specjalnej wystawie, a po jej zamknięciu wszystkie prace powrócą do właścicieli. **(r)**

BIAŁOGŁOWA TRĘBACZEM NA WIEŻY MARIACKIEJ?

Jeszcze nie, ale poszukując hejnalistów nie stawiamy żadnych wymogów co do płci – mówi komendant krakowskiej straży pożarnej płk. Mieczysław Feliks. – Jeśli zgłosi się kandydatka umiejąca grać na trąbce i chętna do podjęcia służby na wieży, z przyjemnością ją zatrudnimy, choć służba ta jest naprawdę ciężka. Jak do tej pory chętnych nie było, ale wierzę, że wcześniej czy później usłyszę hejnał grany przez białogłowę w strażackim mundurze.

W krakowskiej, najstarszej polskiej straży pożarnej służy kilkanaście dziewcząt. Pełnią one różne odpowiedzialne funkcje. Kilka z nich uzupełnia strażacką wiedzę w szkołach chorążych. Ale, jak dotąd, żadna z dziewcząt nie sięgnęła po „najgłośniejsze" stanowisko, jakim jest funkcja trębacza na Wieży Mariackiej. **(r)**

W UBRANIU CIEPLEJ

Co lepsze – stracić buty, czy poczekać do lata? Aż korci, żeby zażyć pierwszej morskiej kąpieli

Fot. **M. Szymański**

MOI NOWI KOLEDZY Z GŁÓWCZYC NAUCZYLI MNIE CIEKAWIE ŻYĆ

List ten może wydać się nietypowy dla tematu „Nasze sprawy" ze względu na swą „inność", lecz bardzo chciałabym opisać cząstkę tego co przeżyłam.

Od trzech miesięcy mieszkam w województwie słupskim, w Główczycach (poprzednio w Ińsku). Ogromnie bałam się zmiany środowiska, nowych koleżanek, kolegów itp. Nie przypuszczałam, że mogę tu spotkać wspaniałych, młodych ludzi, dziewczęta i chłopców, którzy innym potrafią umilić życie. W poprzednim miejscu zamieszkania poza nauką i telewizją nie widziałam świata, często nudziłam się i miałam dość wszystkiego.

Teraz, kiedy poznałam moich nowych kolegów z Główczyc, zrozumiałam, że są jeszcze młodzi ludzie mający chęć do życia, do życia o jakim mi się nigdy przedtem nawet nie śniło. Śmiech mnie ogarnia, gdy pomyślę, że jeszcze trzy miesiące wcześniej nudziłam się i nie wiedziałam, jak wypełnić sobie czas. Obecnie, kiedy przychodzę ze szkoły odrabiam lekcje i pędzę na zajęcia sportowe. Sport to żywioł tutejszej młodzieży. Następnie idę do czytelni i do wielu innych miejsc „zjadających" czas. Nie sposób nudzić się w gronie młodzieży która ma tak wiele zainteresowań, których nawet w części nie opisałam. Są oni wspaniali – mali i duzi, weseli i smutni, ale wszyscy serdeczni ludzie.

Pragnę choć w ten sposób podziękować gronu główczyckiej młodzieży za ich serdeczność, przyjaźń i za wyprowadzenie mnie z błędnego zdania, że świat jest nudny i smutny.

Danka

WALKA O SIEBIE

Sensem mojego życia (jak i moich rówieśników) jest nadzieja na dorosłe życie i przygotowanie się do tej dorosłości. Myślę, że jest to dobry program dla nas – nastolatków.

Mam 15 lat, uczęszczam do Liceum Ogólnokształcącego w Strzelnie. Nie wiem jeszcze jaki kierunek studiów wybiorę ale gdziekolwiek uczyłbym się, gdziekolwiek pracował – **będę się starał robić to dobrze.** Dobrze pracować, walczyć z trudnościami, a więc osiągnąć zadowolenie ze swych sukcesów – to właściwie jeden z moich celów. Droga do tego, **to praca nad sobą.** Myślę, że to łatwiejsze, niż pracować nad wychowaniem kogoś innego, bo własne wady znamy najlepiej.

Ja na przykład staram się hamować swoją porywczość, nie kłócić się o byle co. Powolutku (aż do skutku) walczę z nieśmiałością i różnymi lękami w myśl zasady z „Dział Navarony": **„Zrób coś, czego się boisz, a strach zniknie".** Sądzę, że aby się pozbyć nieśmiałości, która jak wiem, młodym ludziom utrudnia życie, trzeba się najpierw do niej przyznać – najlepiej ze śmiechem.

„Jarowy Ptyś"
Strzelno

MAŁO PRACY DUŻO PRZYJEMNOŚCI

Mam, nie tylko ja zresztą ale i nasza drużynowa, duże kłopoty z niektórymi harcerzami. Było nas siedem osób w zastępie, dwie odeszły. Traktowały one nasz Związek w taki sposób: **mało pracy – dużo przyjemności.** Uważam, że nasza organizacja powinna dużo pracować i to szczególnie w najbliższym otoczeniu, a po pracy dopiero rozrywka. Osoby, które odeszły z mojego zastępu demoralizują inne. Próbowałem różnymi sposobami tłumaczyć im, jakie cele ma harcerstwo, ale nic z tego do nich nie dotarło. Na szczęście w moim zastępie są i inni chłopcy. Szczególnie dwaj traktują obowiązki wynikające z przynależności do harcerstwa bardzo poważnie. Nie opuścili dotąd ani jednej zbiórki i zawsze są bardzo aktywni we wszystkich naszych pracach. Gdyby tak wszyscy... Na pewno nasz Związek wyglądałby całkiem inaczej.

Darek G.
Stoczek Łuk.

CHĘTNIE PODYSKUTUJĘ, PORADZĘ

W lutym skończyłam 14 lat, a w harcerstwie jestem już czwarty rok. Dotychczas byłam w swojej 13 DH im. Gen. Józefa Bema w Brzostku zastępową, a teraz dostałam „sielankową posadkę" – przybocznej. Ani ja, ani cała drużyna nie jest idealna, niejeden pomysł spalił na panewce, ale... to znowu nie takie dno. Mieliśmy letni biwak, rajd pieszy jesienią, fantastyczne Andrzejki, dla powodzian zebraliśmy 15 tys. zł. Ale to już historia, bo już za kilka dni kominek dla całego hufca, potem turniej drużyn, przyrzeczenie ... i tak „zawsze coś" do czerwca. Latem – akcja letnia, rajdy, biwaki.

Bardzo mnie interesuje historia harcerstwa (szczególnie okres II wojny światowej). W ogóle staram się o ZHP dowiedzieć jak najwięcej. Czytam wiele książek, a innym proponuję „Mury w Ravensbrück" – Danuty Brzosko-Mędryk, „Cudaki" Wiesława Hudona, „Piąta operacja i inne opowiadania" – Własowa i Młodika oraz „U nas słonecznie" (zbiór opowiadań o życiu naszych radzieckich rówieśników – pionierów). Zbieram plakietki, książki, teksty piosenek harcerskich, wiersze o warszawskich powstańcach, chusty harcerskie. Układam od niedawna krzyżówki o harcerstwie. W ciągu tych kilku lat zdobyłam 50 sprawności, patent zastępowej i przybocznej, a aktualnie zdobywam stopień wędrowniczki. Jestem także stałą bywalczynią obozów harcerskich. Harcerstwo uważam za fantastyczną sprawę i bardzo chętnie nawiążę korespondencję z druhami i druhnami z całej Polski, i nie tylko, bo moje zainteresowania wybiegają poza jej granice, a szczególnie do pionierów radzieckich.

Zapewniam, że każdy dostanie odpowiedź, jeśli nie ode mnie, to od którejś z moich koleżanek, bo mam zamiar utworzyć w drużynie coś w rodzaju Klubu Korespondentów, więc... na moim słowie, że się dostanie odpowiedź, polegaj jak na Zawiszy. Bardzo chętnie podyskutuję, poradzę.

Z harcerskim pozdrowieniem CZUWAJ!

dh Bogusława Gwiżdż
33-125 Brzostek 293
woj. Tarnów

P.S. Jeśli ktoś może, bardzo proszę o znaczki za 2,50 zł na odpis, bo gdybym nawet chciała wszystkim odpisać (hm... jeśli ktoś napisze), to na większą ilość mogą mi nie pozwolić fundusze.

POCZTY HARCERSKIE odezwijcie się!

Chciałbym nawiązać korespondencję z drużynami, zastępami lub klubami, które prowadzą Harcerskie Poczty Polowe. Jednocześnie, jeżeli to możliwe, chciałbym odnowić współpracę z 205 Warszawską Drużyną Harcerską. Współpraca taka istniała w latach 1958–60.

Druhowie, napiszcie do nas! Podaję adres:

hm Jerzy Ciemny
ul. Lipowa 71/25
88-100 Inowrocław

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

Przepisy kulinarne zbierają:

Mirosława Rodak (16 lat) 11-311 Kolno woj. olsztyńskie; **Monika Dąbkowska** Borsuki kol. 07-217 Zatory woj. ostrołęckie; **Katarzyna Zatońska** (14 lat) ul. gen. Zawadzkiego 102/10, 71-246 Szczecin; **Beata Mazur** (15 lat) ul. Sportowa 12/11, 55-200 Oława.

Wiadomości historyczne zbierają:

Iwona Klinowska (16 lat), ul. Dąbrowskiego 44a/10, 93-277 Łódź interesuje się historią Łodzi;

Varka Ustasiak (14 lat), ul. Ogińskiego 1/2, 58-301 Wałbrzych – zbiera informacje na temat historii Warmii i Mazur;

Ilona Chromik (15 lat), ul. Leszczyńska 13a/6, 43-300 Bielsko-Biała – interesuje się historią, kulturą i sztuką radziecką.

Prospekty i adresy zagranicznych firm samochodowych zbierają:

Dorota Perkowska (11 lat) ul. Dąbrowszczaków 10a/3, 80-373 Gdańsk; **Dariusz Korneluk** (14 lat) 21-540 Mataszewice woj. bialskopodlaskie; **Zbigniew Woleński** (15 lat), ul. 1-go Maja 4, 48-258 Twardawa; **Daniel Pick** ul. M. Konopnickiej 3/36 85-124 Bydgoszcz; **Dariusz Hurkala** (15 lat), ul. Kurkowa 23a/28, 50-210 Wrocław; **Ryszard Grzybek** (12 lat), ul. Sarkandra 3, 43-430 Skoczów, woj. bielskie.

Fot. archiwum

DZIĘKUJĘ ZA OKAZANĄ MI ŻYCZLIWOŚĆ

14 października 1981 roku w „Redakcyjnej Poczcie" został wydrukowany mój list pt. „Proszę o pomoc w podjęciu decyzji". Zaraz potem otrzymałam ponad trzydzieści listów; wszystkie sprawiły mi wielką radość. Po przeczytaniu tych listów rozważając wszystkie „za" i „przeciw" postanowiłam wybrać LO. Nawiązałam korespondencję z wieloma osobami. Na wszystkie listy odpisałam. Za to właśnie, że czytelnicy „RP" pomogli mi w kłopocie i nawiązali ze mną korespondencję, jestem wdzięczna.

Jeszcze raz dziękuję za wydrukowanie mojego listu w „RP". Serdecznie pozdrawiam. Życzę dalszej owocnej pracy.

Grażyna Pietras

Każdy pies musi mieć swój dom

Na moim osiedlu biega wiele bezdomnych psów. Większość, to bardzo ładne i zdrowe okazy. A jednak ludzie poprzestają jedynie na wyrzucaniu dla nich resztek ze swych posiłków. Mało kto pomyśli, że pies też chciałby mieć swój dom. Już od dawna męczyłam mamę o psa, lecz odpowiedzią było – nie. Kiedy jednak przyniosłam do domu kudłatego, zabiedżonego psiaka, ten zaczął robić tak komiczne miny, że mama zmiękła i przybył nam jeszcze jeden członek rodziny. Następnego dnia wykryłam u „Fafika" pięć różnych chorób. Przez tydzień wydałam na jego leczenie całe swoje oszczędności (prawie pięćset złotych), jeszcze rodzice musieli mnie finansowo wspomóc.

U weterynarza byłam świadkiem zdarzenia, które mną wstrząsnęło. Dziewczyna przyszła ze swym psem, by lekarz go uśpił. Okazało się, że jej matka tak kazała dlatego, że nie chce wydać choćby stu złotych na jego leczenie! Lekarz ulitował się i leczy psa darmo. Ja mojego Fafika uśpiłabym jedynie w ostateczności i nie chciałabym zamiast niego żadnego innego psa.

Ślę apel do wszystkich ludzi, którzy mają serce i którzy wierzą, że istnieje coś ważniejszego niż wymuskane dywany! Ulitujcie się nad „Ciapkiem", czy „Miśkiem" spod waszego bloku!! Daję słowo, opłaci się. Podobno psy pomagają w wychowaniu dzieci! Przyjaźń jest potrzebą ludzi od najmłodszych lat... Znam panią, która choć ma nieskazitelną czystość w domu, przygarnęła starą, niezbyt urodziwą suczkę.

Joanna

MIAŁAM SZCZĘŚCIE

Piszę pod wpływem dopiero co przeczytanego listu dh Doroty Masłowskiej. Bardzo zasmuciło mnie zdanie wypowiedziane przez instruktorkę, że PRACA W HARCERSTWIE JEST NIEWDZIĘCZNA. Zasmuciło, a przede wszystkim oburzyło. W harcerstwie jestem od 7 lat i chyba dość dobrze je poznałam. Polubiłam, ba nawet pokochałam. Może dlatego, że miałam szczęście trafić w krąg wspaniałych ludzi, którzy mnie harcerstwa nauczyli.

Ile radości i satysfakcji można znaleźć w zdobywaniu sprawności, zaliczaniu zadań zespołowych. A obozy? Wtedy jesteś z harcerstwem przez 24 godziny na dobę. Wracasz do domu szczęśliwy (często niewyspany i niedomyty) i już myślisz: JESZCZE CAŁY ROK! A w zwykłym roku szkolnym. Miło patrzeć, jak cieszy kogoś praca twoja, twojego zastępu, drużyny. A ilu fajnych ludzi masz okazję poznać... A ile się nauczysz... To jest coś! To my, młodzi harcerze powinniśmy walczyć o to, by w harcerstwie było nam dobrze. To przecież **nasza** organizacja!

Owszem, nie zaprzeczam, że są i trudne chwile. Ale wtedy powinien znaleźć się instruktor czy nawet szeregowy harcerz, który poradzi, pomoże, bo przecież ... „wszyscy harcerze to jedna rodzina". Zamiast więc mówić o niewdzięcznej pracy w harcerstwie, lepiej wziąć się po prostu do roboty. Dla dobra nas wszystkich.

Agnieszka

REDAKCYJNA POCZTA

Zostałam wyklęta przez większość klasy – czy słusznie?

Przyszłam do nich na początku szóstej klasy. Byli fajną, zgraną paczką. Przyjęli mnie bardzo ciepło. Czułam się wśród nich lubiana i potrzebna. W następnym roku szkolnym wybrali mnie gospodynią klasy. Byłam zaskoczona. Nie sądziłam, że darzą mnie takim zaufaniem. Lekcja chemii. Nauczycielka zadała klasie pracę i wyszła. Zaraz po jej wyjściu uczniowie zaczęli rozmawiać. Niegłośne z początku rozmowy szybko zmieniły się w jeden wielki wrzask. Jeden z kolegów poszedł po nauczycielkę. Przyszła bardzo zdenerwowana.

Gospodarz! – krzyknęła. Wstałam, czując przez skórę, że kroi się coś niedobrego. – Siadaj przy stoliku i temu, kto się odezwie wpisz gałę – powiedziała już nieco spokojniej po czym wyszła.

Kilka osób bardzo głośno rozmawiało, więc wstawiłam im dwójki. Po lekcji przez większość klasy zostałam okrzyczana świnią. Do dzisiejszego dnia nie zauważają mnie i traktują jak powietrze. Tylko nieliczni mówią, że postąpiłam tak, jak powinnam. A ja...? Sama nie wiem. Wiem tylko tyle, że straciłam zaufanie większości klasy i zachodzi obawa, że go już nigdy nie odzyskam. Chciałabym, aby czytelnicy wypowiedzieli się na temat mojego postępowania.

Zrozpaczona gospodyni

Co kto wie o słoniach?

Muszę przygotować album o słoniach. Niestety, mam kłopoty ze znalezieniem materiałów. Jeśli ktoś mógłby mi przysłać wiadomości o tych zwierzętach i kilka ich zdjęć, będę bardzo wdzięczna.

Mariola Kejna
ul. Gdańska 2,
87-730 Nieszawa

Braki w uzębieniu należy uzupełniać, a nie je ukrywać

Mam dopiero czternaście lat, a brakuje mi już dwóch górnych przednich zębów. Jest to szalenie krępujące. W klasie to jeszcze pół biedy. Każdy wie, że mam braki w uzębieniu. Większość mi współczuje. Dziewczynki są bardzo miłe, okazują wiele serdeczności i przyjaźni. Twierdzą, że mam fantastyczny charakter. On to właśnie przyciąga je do mnie. Część chłopców przezywa mnie „zębata", ale do tego już przywykłam. Problem zaczyna się poza ścianami klasy. Gdy podchodzi do mnie jakiś chłopiec, natychmiast spuszczam głowę w dół. Byłam na kilku dyskotekach, ale bardziej się umęczyłam niż ubawiłam. Jestem niebrzydka, więc na zabawie nie podpieram ścian. W tańcu jednak moja głowa natychmiast wędruje w dół. To strach, aby chłopak nie zobaczył moich zębów (a właściwie ich braku) i nie zraził się do mnie. Tak bardzo chciałabym, aby jakiś chłopiec dał mi szczęście, ale czy któryś zechce mnie bez zębów? Wiem, że powinnam się leczyć. Brak mi jednak odwagi. Doradź, redakcjo, czy kulić bezustannie głowę, czy też przestać się wstydzić tego ubytku w zębach?

Zmartwiona Jadzia

OD REDAKCJI: nie doradzamy Ci, Jadziu, ani bezustannego opuszczania głowy, ani też „kokietowania" swego otoczenia luką między zębami. Musisz jak najszybciej zgłosić się do lekarza-stomatologa. Takie uzupełnienie braków nie jest wcale bolesne. To tylko kwestia umocowania zębów zastępczych. A gdyby nawet miało trochę poboleć, to co? Nie zwlekaj Jadziu! – zobaczysz jaką poprawę w Twoim samopoczuciu odegrają te dwa wstawione zęby. (m m)

BILANS POMOCY I PERSPEKTYWY

Kilka dni temu otrzymałem list od Waldemara L., ucznia III LO we Wrocławiu. Oto fragment tego listu: **„O uzależnieniu wielu dziedzin naszej gospodarki od dostaw z państw zachodnich wiemy już dostatecznie dużo, jest to bowiem odczuwalne niemal na każdym kroku. Ale nikt z mojego otoczenia nie potrafi wytłumaczyć czy pomoc krajów RWPG może zrównoważyć brak tamtych dostaw i czy jest to w ogóle możliwe?"**

Zacznę od tej ostatniej sprawy – od krótkiego bilansu pomocy udzielanej nam przez kraje socjalistyczne. Nasilenie tej pomocy nastąpiło po 13 grudnia ub. roku, w odpowiedzi na apel naszych władz państwowych do krajów RWPG. Związek Radziecki i pozostałe kraje socjalistyczne pospieszyły nam z pomocą w postaci dodatkowych kredytów, towarów rynkowych, surowców i innych niezbędnych do produkcji materiałów. Znaczną część tej pomocy udzielono nam w charakterze pomocy doraźnej, pozwalającej na łagodzenie niemal z dnia na dzień skutków wspomnianych restrykcji ze strony państw zachodnich.

W ramach tej doraźnej pomocy, w grudniu ub. r. i w styczniu otrzymaliśmy ze Związku Radzieckiego – ponad wielkości ustalone w rocznym protokole handlowym na rok 1981 – towary wartości 2,2 miliarda złotych. Dostawy tych towarów Związek Radziecki zrealizował w ramach udzielonego nam kredytu, który spłacać będziemy dopiero po 1985 roku. Nie można tu również pominąć faktu, że od naszego wschodniego sąsiada otrzymaliśmy w ramach pomocy bezzwrotnej m. in. 465 milionów dolarów na zakup niezbędnych towarów w krajach zachodnich. Natomiast z NRD otrzymaliśmy bezzwrotną pomoc w towarach wartości około 2 mld zł. Również Czechosłowacja w końcu ub. r. zadeklarowała na tych samych warunkach dostawy towarów ponad wcześniejsze ustalenia o blisko 2,5 mld zł.

Te same zasady pomocy zastosowali wobec nas również Węgrzy zwiększając dostawy towarów o około 2,5 mld zł. Z dodatkowymi dostawami towarów wartości około 480 mln zł pospieszyła także Bułgaria. Te dostawy już zostały zrealizowane, a należności za nie spłacimy dopiero po 1984 roku, z minimalnymi bo 2,5 procentowymi odsetkami. Pomoc zaofiarowały nam również: Mongolia – 136 mln zł, Wietnam – około 7 mln zł, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna – 68 mln zł, Jugosławia – 15 mln dolarów, a także Afganistan – 700 tys. dol.

Warto tu jeszcze podkreślić to, że dostawy z wymienionych wyżej krajów obejmują przede wszystkim wyroby rynkowe, niezwłocznie kierowane do konsumentów. Część tej pomocy otrzymaliśmy w formie paczek dla dzieci. Łączna wartość udzielonej nam przez wszystkie kraje pomocy wyniosła w przybliżeniu około 10 mld zł, co stanowi około 8 proc. miesięcznych dostaw na nasz krajowy rynek.

Tyle o pomocy doraźnej, jakiej udzieliły nam i nadal udzielają bratnie kraje. To oczywiste – rozmiary tej pomocy, nawet podwojone, nie są w stanie złagodzić sankcji gospodarczych, zastosowanych przez rząd USA i rządy niektórych krajów zachodnich. **Dlatego więc I sekretarz KC PZPR, premier Wojciech Jaruzelski zwrócił się do I sekretarzy Komitetów Centralnych partii krajów RWPG o dalszą pomoc dla Polski. Chodzi nam o to, by bratnie kraje przyspieszyły dostawy przewidziane umowami na rok bieżący. Zależy nam na otrzymaniu największych dostaw w I i II kwartale, aby nasz przemysł miał choć minimum czasu na znalezienie innych źródeł dostaw surowców i materiałów, a także na zmianę profilu produkcji i jej przestawienie na wykorzystywanie surowców krajowych.**

Jesteśmy głęboko zainteresowani zwiększeniem i przyspieszeniem dostaw z krajów RWPG towarów rolno-spożywczych, surowców i materiałów do produkcji, a także części zamiennych, których brak dotkliwie odczuwa nasz przemysł. **Zwróciliśmy się również do naszych partnerów o zgodę na przesunięcie spłaty przez Polskę naszych zadłużeń na dalsze lata oraz o dostawy niektórych surowców i materiałów, które importowaliśmy z krajów zachodnich.**

Nasze zabiegi spotkały się z pozytywnym odzewem. W zasadzie wszyscy nasi partnerzy potwierdzili zwiększenie dostaw w pierwszym półroczu. Związek Radziecki dostarczy nam w bieżącym kwartale 25 proc. rocznej wielkości dostaw. Pozostałe kraje RWPG wyraziły gotowość dostarczenia w I kwartale 30 proc. całorocznych dostaw towarów rynkowych i surowców, a Bułgaria wykona całoroczne dostawy w I półroczu.

Trzeba jeszcze wspomnieć o bardzo ważnej dla nas sprawie wykorzystania wolnych mocy w naszym przemyśle. Związek Radziecki jako pierwszy przyjął naszą ofertę wykorzystania tych mocy; w zamian za surowce dostarczymy do ZSRR określoną ilość produktów gotowych. W ramach wspomnianego wykorzystywania wolnych mocy produkcyjnych w naszym przemyśle możemy produkować dla naszych partnerów napędy do maszyn do szycia, taśmy przenośnikowe i aluminiowe przewody elektroenergetyczne z linkami stalowymi, magnetofony kasetowe, kineskopy dla telewizorów kolorowych, wybrane typy obrabiarek oraz wiele innych produktów przemysłu chemicznego i lekkiego. Wiele umów w tym zakresie już realizujemy.

Czy te wszystkie zabiegi i pomoc krajów socjalistycznych złagodzą trudności wynikłe z braku importu surowców z krajów Zachodu? Na pewno tak. Wszystko to pozwoli również na uporządkowanie rozregulowanej gospodarki. Warto jednak pamiętać o tym, że te wszystkie starania **tylko** złagodzą nasze trudności, ale ich nie usuną, jeśli nie pomożemy sobie sami.

Jest to warunek podstawowy wydźwignięcia naszej gospodarki z głębokiego kryzysu i otwarcia przed Polską perspektyw powrotu do czołowej roli w gospodarce krajów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

RYSZARD RATAJCZYK

CO DALEJ ÓSMA KLASO

PRZED DECYZJĄ

W tych dniach, w całym kraju rozpoczęły się przyjęcia podań do szkół średnich: liceów, techników i zasadniczych szkół zawodowych. Dnia 15 maja br. mija termin ich składania.

Dla ósmoklasistów to gorący moment – przez wielu odwlekana decyzja teraz musi zostać podjęta. Czy wybierając w tym momencie zawód dla siebie jesteście dojrzali do podjęcia samodzielnej, trafnej decyzji zawodowej?

Wiele z badań psychologicznych wskazuje na to, iż 15-latek, czyli uczeń 8 klasy nie jest jeszcze w pełni do niej przygotowany. Za całkowicie bowiem dojrzałą decyzję można uznać tę, która spełnia równocześnie kilka warunków: jest autonomiczna, trwała, konkretna, stanowcza oraz oparta o rzetelne informacje zawodowe. W im większym stopniu owe warunki zostaną przez ósmoklasistę uwzględnione, tym bardziej podjętą decyzję nazwiemy dojrzałą.

Informacja

Do podjęcia trafnej decyzji zawodowej niezbędna jest szeroka, rzetelna wiedza na temat przyszłego zawodu. To znaczy, jakie czynności wykonuje np. elektryk, jakimi posługuje się narzędziami, w jakich warunkach pracuje, jakie wymagania stawia przed nim ten zawód (cechy charakteru, wymogi zdrowotne), jaką drogę kształcenia musi przejść, aby zawód ten uprawiać.

Justyna K. z Pniew Wielkopolskich chce być pielęgniarką. Pisze: *„...podstawowym zadaniem jest opieka nad chorym, wykonywanie zabiegów zaleconych przez lekarzy, podawanie leków, robienie opatrunków, zastrzyków, zakładanie kroplówek, mierzenie temperatury, ciągła obserwacja chorego i przekazywanie informacji o stanie pacjentów lekarzowi. Pielęgniarka musi być odpowiedzialna, sumienna, wrażliwa, dokładna, wyrozumiała. Jej trzyzmianowa praca to cały dzień na nogach – musi być więc silna. To trudny zawód".*

A teraz dla porównania wiadomości Małgorzaty S. z Łodzi, która chce zostać stewardesą. Pisze ona *„...dzięki tej pracy można poznać wiele krajów. Stewardesa informuje pasażerów o przebiegu lotu, rozdaje posiłki. Musi znać kilka języków obcych, dobrze znosić podróż samolotem i zgrabnie poruszać się po pokładzie. Praca ta nie jest ciężka, choć ryzykowna".*

Justyna w miarę precyzyjnie wymieniła zakres obowiązków pielęgniarki. Prawidłowo też zaobserwowała cechy charakteru wymagane w tym zawodzie, trafnie oceniła stopień jego trudności. List Małgorzaty natomiast zawiera powierzchowne, obiegowe informacje na temat zawodu stewardesy, której osoba kojarzy się wyłącznie z ładną buzią i firmowym uśmiechem. O tym, że jest to zawód niesłychanie ciężki (dźwiganie skrzyń z zaopatrzeniem przed każdym lotem, ciągła zmiana klimatu, praca na wysokości itp.) nie ma słowa. Gdyby tak się złożyło, że Justyna zostałaby pielęgniarką, a Małgorzata stewardesą prawdopodobnie więcej rozczarowań przeżyłaby ta druga. Rozczarowań wynikających z nieświadomości.

Dosyć niepokojący jest fakt, iż w większości Waszych listów wiadomości na temat poszczególnych zawodów są mizerne. Na przykład konduktorka wyłącznie dziurkuje bilety, reporter podróżuje itp. A przecież im mniej tych informacji, tym więcej niewiadomych i tym trudniej decydować.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

1

Związek Algierskiej Piłki Nożnej został założony w 1962 roku. Od roku 1963 jest on członkiem Międzynarodowego związku Piłki Nożnej (FIFA). Barwy reprezentacyjne – koszulki zielone, spodenki białe, skarpety czerwone. Osiągnięcia: mistrzostwo V Igrzysk Śródziemnomorskich (1975), ćwierćfinał turnieju olimpijskiego w Moskwie. Adres: FEDERATION ALGERIENNE DE FOOTBALL, 4 RUE EMIR ABDELKRIM EL KHATTABI, ALGIER.

Trudno nawet przypuszczać, aby reprezentacja Algierii mogła pokrzyżować plany tej miary drużynom jak zespoły Brazylii, Argentyny czy RFN. Ale nie ulega wątpliwości, że zielono-biali zasłużyli sobie na grę w hiszpańskich mistrzostwach i zapewne będą starali się nie zawieść zaufania swoich sympatyków. Debiutują w MŚ. Ich trenerem jest JEWGENIJ ROGOW (ZSRR).

Swój pierwszy międzynarodowy mecz (1963), niemal nazajutrz po odzyskaniu niepodległości, rozegrali Algierczycy z Bułgarami, których pokonali 2:1. Dla wtajemniczonych sukces ten nie stanowił, zbyt wielkiej niespodzianki, bowiem większość zawodników triumfującego zespołu stanowili piłkarze występujący w ligowych drużynach Francji i Belgii. Tak zresztą jest i obecnie. Szkoleni w Europie futboliści są na ogół bardziej zaawansowani technicznie od pozostających w kraju kolegów. Trzon reprezentacji tworzą: ZIDANE (występujący w Belgii), DAHLEB, CHEBEL, KOURICHI i GAMOUH (wszyscy grają w ligach francuskich) oraz BELLOUMI – najlepszy piłkarz afrykański roku ubiegłego. Warto zaznaczyć, że ten ostatni został również uznany najlepszym sportowcem Czarnego Lądu i zdystansował nawet słynnego lekkoatletę HENRY'EGO RONO. BELLOUMI stanowił do niedawna „mózg" zespołu Algierii. Do niedawna, bowiem ostatnio ma kłopoty ze zdrowiem i jego występ w Hiszpanii stoi pod znakiem zapytania.

Belloumi (w czerwonej koszulce) – najlepszy piłkarz Afryki w roku ubiegłym. Czy wystąpi w Hiszpanii? Fot. **archiwum**

Algieria

INTERESUJĄCY DEBIUTANT

W kraju istnieją trzy ligi piłkarskie. W pierwszej gra prawie tyle samo zespołów co w polskiej ekstraklasie. W sumie Algieria posiada prawie 800 klubów, skupiających około 40 tys. zawodników. Pod tym względem na kontynencie afrykańskim lepszy jest tylko Zair (ponad 50 tys. piłkarzy) – uczestnik X MŚ i tradycyjny już rywal Algierii w kontynentalnych pucharach. W eliminacjach do Espana'82 Algierczycy doznali jednej porażki z Nigrem – 0:1 (wcześniej wygrali 4:0) i pokonali Sierra Leone, Sudan i Nigerię. Łącznie strzelili rywalom 16 goli, tracąc tylko 6. Dobrze to świadczy o umiejętnościach zespołu, ale czy wystarczą one na zajęcie liczącego się awansem miejsca w ich grupie mundialowej – to już inna sprawa. Chociaż niektórzy twierdzą, że Algierię stać na pomieszanie szyków nawet potentatom. Splendoru tej sympatycznej jedenastce przynosi już sama gra w gronie czołowych drużyn świata. **(zp)**

Rolnicy z Raciążka przez parę miesięcy walczyli o ponowne utworzenie w tym miasteczku gminy, która miała wiekowe tradycje, a jednak została zlikwidowana i rozparcelowana przez reformę administracyjną w 1976 r. Ciągle im reaktywowanie gminy obiecywano, a potem – o czym była mowa w poprzednim numerze – wystawiano do wiatru. Gdy już stracili nadzieję, społeczny komitet zajmujący się w Raciążku tą sprawą postanowił – dla zademonstrowania niezadowolenia i żalu – urządzić utraconej gminie pochówek...

Oddajcie nam gminę! (3)

Miało być uroczyście i poważnie: z procesją i światłami. Gdy odebrali trumnę od stolarza, napisali na niej: *Gmina Raciążek utworzona w 1254 r. – zamęczona w roku 1976.* Pod spodem dodali: *Ale zmartwychwstanie!* Ustalili trasę przemarszu, po czym wystosowali zaproszenia na ten pogrzeb do wielu instytucji i czekali w naprężeniu...

Nie można powiedzieć – zrobiło wrażenie! Zaraz zaczęli zjeżdżać urzędnicy i coraz liczniejsi dziennikarze. Zjawiła się m.in. pani z Urzędu Wojewódzkiego we Włocławku i dalej molestować: – Panie Lewandowski, niechże pan da spokój! Robić panikę na cały kraj! Dostaniecie gminę, ale z tą trumną nie wychodźcie!

I nie wyszli...

Ale nie dlatego, że się tym nawoływaniem do spokoju tak przejęli. Powód był zupełnie inny. Oto dostali kserokopię dokumentu o historycznej dziś treści, którą ponoć... wykradły z ministerstwa, a następnie przywiozły im tu dwie dziennikarki z Warszawy, już wcześniej wciągnięte w całą sprawę! To było pismo ministra Administracji gen. Hupałowskiego, a zawierało ni mniej ni więcej, tylko... zgodę na utworzenie gminy!

Więc wzięli swoją trumnę, zanieśli ją do kościoła, do parafialnego muzeum, no i... Zdawałoby się, że świętowaniu nie powinno być końca. Ale niewiele było tego świętowania, bo teraz zaczęły się kolejne kłopoty.

Przede wszystkim – gdy w Nieszawie zorientowano się, że zamierzają się odłączyć, zabierając ze sobą to, co im się należy, zaczęto szkodzić. Rozpoczęła się podjazdowa wojna. Ot, weźmy choćby międzykółkową bazę maszynową, dziś we władaniu SKR. Nieszawa, widząc co się święci, cichcem poczęła zabierać stamtąd resztą sprzętu i części. Zniknęło ich za blisko pół miliona! Więc się raciążanie uwzięli i postawili warty trzymane dniem i nocą. Chcieli, żeby tu powstała ich niezależna baza – bo bez niej w nowej gminie – ani rusz.

Musieli więc wartować, żeby nie było tak jak z *dygnitarską daczą*, o której Lewandowski mówi, że powstała za chłopski grosz. No, bo SKR miał 10 mln strat, a mimo to daczę wybudował za całe 2 miliony. Znikąd się te fundusze nie wzięły... SKR chciał tu urządzić wygodne siedziby dla swych dyrektorów. Ale raciążanie się zawzięli: apartamenty dla dygnitarzy? A u nas przedszkole prawie że się wali, grzyb w nim i wilgoć, dzieci nam chorują. To nie można by oddać daczy na nowe przedszkole?

Tamci jednak dawaj daczę remontować – dniem i nocą, żeby nikogo tam nie wpuścić i zdążyć, zanim się w Raciążku utworzy samorząd i ostatecznie ich wykurzy. Zdążyli i dacza została zajęta. Teraz z jej odzyskania na przedszkole mogą być nici... Więc czego mogą – pilnują, a tymczasem – szykują się na to ostateczne zmartwychwstanie gminy.

Już jesienią mieli gotowy inauguracyjny referat – pięć bitych stron maszynopisu! *Despotyzm, nadużycia, nieudolność spowodowały, że kraj nasz jest nędzarzem głodującym, proszącym bez przerwy o pożyczki, o dary. I dlatego sami musimy sobie pomóc. Wzywamy wszystkich mieszkańców gminy Raciążek do czynu, do wytężonej pracy. Musimy pomóc naszej Ojczyźnie, naszej klasie robotniczej. Musimy dać więcej. Musimy być przodującą gminą w województwie włocławskim. Prawie milion kuracjuszy odwiedza rocznie naszą gminę. Musimy być oknem wystawowym Kujaw...* Tak tam stoi, a dalej następuje wyliczenie, czego to zamierzają dokonać, aby tym oknem wystawowym być naprawdę...

A więc podnieść produkcję rolną, pomóc słabym rolnikom, a jednocześnie popularyzować przodujące gospodarstwa. Wybudować nowe drogi. A przede wszystkim – bocznicę i rampę na dworcu kolejowym w Raciążku. Dziś przelatują tędy bez zatrzymania nieraz puste wagony towarowe. Zapewne często nie wykorzystane. A tak... *usprawnimy wywóz produktów ze wsi na ponad 400 kilometrach kwadratowych. Najlepsza część kujawskiej ziemi będzie mogła łatwiej dostarczać swoje plony...* – Tylko – powiada Lewandowski – przy tej bocznicy potrzebna jest pomoc. Liczą na żołnierzy...

Myślą o utworzeniu własnej Gminnej Spółdzielni i otwarciu tu znowu Banku Gospodarki Żywnościowej. *Zabraliście nam bank bezprawnie, to teraz prawnie ten bank musicie nam oddać.* Chcą namówić Koło Gospodyń Wiejskich na założenie mechanicznej wylęgarni drobiu. Trzeba odnowić remizę strażacką, mocno nadwątloną za nieszawskich czasów. I nawiązać współpracę z najbliższym miastem – Ciechocinkiem. Niech ludzie stamtąd korzystają z ich domu kultury, urządzają w nim występy artystyczne. Myślą też, że wspólnie z Ciechocinkiem powinni się zająć ruinami raciążkiego zamku i odnowić w nim co się da, a może wykorzystać go do organizowania tu różnych imprez...

A jak już wróci dostatek i normalna praca – zorganizują za rok, dwa wojewódzkie dożynki – *inne niż zawsze, bez reżyserii...* Już dziś myślą – czego tam nie będzie. Ba, nawet wybór... Królowej Piękności Ziemi Kujawsko-Dobrzyńskiej!

Tu pytam Lewandowskiego, na czym opierają swą wiarę w lepszą przyszłość?

– Na tym – mówi – że w ludziach jest bardzo dużo entuzjazmu i że są bardzo gospodarni. Byle im tylko nie przeszkadzać...

A dlaczego właściwie przeszkadzano? Dlaczego tak nie chciano tej gminy w Raciążku? Bo np. wojewoda Różycki przyznał im się na jednym ze spotkań, że tak naprawdę, to się cały czas przeciwstawiał jej powstaniu. Właściwie dokładnie nie wiadomo, dlaczego był przeciw... Czy to efekt zmowy z naczelnikiem z Nieszawy? Za to negatywne nastawienie naczelnika – jest zupełnie zrozumiałe. Skoro miał w swoim ręku dobre wsie i dobre grunty – nie chciał się ich wyrzec. Toteż teraz, gdy się odłączają, nieszawiacy traktują ich jeszcze bardziej niechętnie: to z autobusu wypchną, to z kolejki w sklepie...

Ale – jak piszą raciążanie – *nie możemy poddawać się desperacji, apatii, nie możemy umierać, żyjąc jednocześnie, bo to byłby nasz koniec.* A póki co, przygotowują wielką tablicę pamiątkową, gdzie zostaną wpisani wszyscy ci, co im w odzyskaniu gminy pomagali.

Tablicę umieszczą na widocznym miejscu. Na dowód, że jak się chodzi, nęka, wydeptuje ścieżki, zrobi szum na cały kraj, a przede wszystkim skrzyknie ludzi dobrej woli – to nie ma takiej sprawy, która by nie była do wygrania...

TOMASZ KŁOSOWSKI

- **Dzieje lampy naftowej i jej wynalazcy – w Muzeum Techniki**
- **A może i wy jesteście posiadaczami zabytkowych lamp?**

PIERWSZE ŚWIECIŁY CHORYM...

... a miało to miejsce po raz pierwszy 31 lipca 1853 roku w szpitalu we Lwowie. Data ta przeszła na stałe do dziejów techniki za sprawą **Ignacego Łukasiewicza,** wynalazcy pierwszej skutecznie działającej lampy naftowej. To właśnie prototypy jego wynalazku oświetliły lwowski szpital.

Niektórzy proponują, by rok 1982 nazwać rokiem Łukasiewicza, bowiem obchodzimy w nim właśnie 160-lecie jego urodzin i zarazem 100-lecie śmierci. Z tej to okazji warszawskie Muzeum Techniki zorganizowało wystawę pt.: „Rodowód lampy naftowej", prezentując na niej zarazem dzieje wynalazcy.

Był początkowo skromnym aptekarzem, bowiem rodziców jego nie stać było na kształcenie syna. Ale właśnie podczas pracy w aptece zwrócił uwagę na „olej skalny" – jak wówczas nazywano ropę naftową. Zaczął ją badać wraz z kolegą, dochodząc do wniosku, że ta substancja – znana już ludziom od wielu wieków – powinna się nadać do celów oświetleniowych. Uwieńczeniem prac Łukasiewicza były właśnie owe lampy w lwowskim szpitalu: dzięki nim uratowano życie pewnemu pacjentowi, którego stan wymagał pilnej, nocnej operacji.

Lampa naftowa stała się dziś symbolem twórczości technicznej Łukasiewicza, ale tak naprawdę nie ona była jego największą zasługą. Ten wybitny pionier naszej techniki był bowiem przede wszystkim twórcą polskiego górnictwa i przemysłu naftowego. Założył pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej w Bóbrce koło Krosna; dziś pozostał tu skansen, będący cennym zabytkiem techniki. Początkowo pozyskiwano tu ropę, kopiąc rowy, w których gromadziła się woda gruntowa; z jej powierzchni zbierano po kilkadziesiąt litrów ropy dziennie. Później zaczęto drążyć ocembrowane deskami szyby. Z czasem Łukasiewicz uruchomił też koło Jasła destylarnię. **Ropę przetwarzał na naftę do lamp, ale także wytwarzał z niej oleje i smary, asfalt i pewien rodzaj parafiny.** Z czasem uruchomił jeszcze większą rafinerię, dając początek przmysłowi naftowemu, który rozkwitł na tych ziemiach w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Dlatego też wystawa w Muzeum Techniki prezentuje nie tylko lampy, ale dzieje przemysłu naftowego. Sięga zresztą czasów o wiele dawniejszych, niż te, w których żył i działał Ignacy Łukasiewicz – aż do początków zainteresowania ludzkości tym surowcem.

Niemniej – lampy zajmują poczesne miejsce na wystawie. Ba, nawet całe żyrandole... Bowiem nad wzbogaceniem wynalazku Łukasiewicza wkrótce zaczęli pracować liczni rzemieślnicy, przyoblekając ten przedmiot codziennego użytku w fantastyczne nieraz formy.

Gromadzenie takich zabytkowych lamp naftowych pasjonuje wielu hobbistów. **A może i wśród was są tacy? Napiszcie więc o swoich zbiorach, czy choćby o pojedynczych, oryginalnych egzemplarzach. Oczywiście – chętnie byśmy też ujrzeli zdjęcia posiadanych przez Was eksponatów!** (tok)

Fot. **Jacek Łopuszyński**

O POCZYTAJKACH, WĄSKIM GARDLE

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

– Krąg autorów, którzy rozpoczynali współpracę z NK w tamtych pierwszych latach, to dziś nazwiska zaliczane do czołówki klasyki literatury dziecięcej.

– Rzeczywiście, jest to lista znakomita: Boguszewska, Broniewska, Centkiewicz, Grabowski, Januszewska, Korczak, Kownacka, Krzemieniecka, Porazińska, Sempołowska, Sokołowski, Szelburg-Zarembina, Umiński, Wasilewska, Żabińscy... Niestety, dziś żyje i drukuje zaledwie garstka: Centkiewiczowie, Sokołowski, Szelburg-Zarembina...

Bardzo wielu naszych autorów rozpoczynało od współpracy z wydawanymi również przez NK czasopismami: „Misiem", „Płomyczkiem", „Płomykiem", a dopiero później – za namową redaktorów lub z potrzeby własnej – zasiadali do pisania książek.

– Wydawnictwo, które pracuje na rzecz młodego czytelnika i dba o swój niezmiennie wysoki poziom, musi chyba wiele czasu poświęcać na współpracę z autorami...

– Tak powinien postępować każdy wydawca, jeśli chce mieć określone rezultaty, więc i u nas obowiązuje to jako twarda zasada. Mamy zresztą takich pisarzy, którzy współpracują z nami od lat, pomimo że gdzie indziej zaproponowano by im może korzystniejsze warunki, np. wyższy nakład. Myślę, że przywiązanie to wynika zarówno z określonego poziomu wydawnictwa i starannego mimo trudności edytorstwa, jak również ze specyficznego klimatu współpracy z redaktorami. Ci ludzie, to naprawdę wysokiej klasy specjaliści.

– Wierzy pan im bez reszty?

– Oczywiście! Gdyby było inaczej, to jak bym mógł tą firmą kierować? Ostatecznie to oni dźwigają główny ciężar odpowiedzialności za jakość pracy tego wydawnictwa. Zawsze publicznie twierdzę, że podział zadań między dyrektorem a redaktorami powinien wyglądać tak: oni pilnują jakości wydawanych książek, nie tracąc z pola widzenia spraw finansowych, ja natomiast odpowiadam za sprawy finansowe, nie tracąc z pola widzenia jakości tego, co się tutaj robi.

– Statystyka powiada, że pańskie wydawnictwo od roku 1945 dostarczyło czytelnikom 7672 tytuły książek o łącznym nakładzie 360 mln egzemplarzy. Że rekord obfitości pobito w 1956 r. liczbą 20 mln egzemplarzy. Zaś w bieżącym roku planuje pan wydać około 200 pozycji w nakładzie blisko 13 mln sztuk. To niby nie jest mało. Wobec tego pytam, gdzie są te wspaniałe dziecięce poczytajki, gdzie literatura piękna czy lektura? Stale brakuje klasyki i wysoko cenionych autorów współczesnych. Zresztą nie tylko bestsellery rozdrapywane są dosłownie w pięć minut – na ostatnim kiermaszu sprzedawcy z oblężonego stoiska NK ledwo uszli z życiem... Dlaczego jest tak, jak jest, panie dyrektorze? Dlaczego?

– Książka dziecięca, głównie nakładem naszej oficyny wydawana była stale obecna na rynku mniej więcej do lat siedemdziesiątych, a zniknęła dopiero gdzieś po tej straszliwej zimie stulecia. Oczywiście absurdem byłoby całą winę zwalać na zimę – ona tylko ujawniła słabość, niedostatki, narastający kryzys, no i dołożyła swoje. Natomiast na pytanie dlaczego tak trudno dzisiaj o książkę dla dzieci, mimo niemałych przecież nakładów, odpowiedziałbym następująco: po pierwsze – książki dziecięcej się nie oddaje – trzymają je w swoich bibliotekach nawet sześćdziesięciolatki. Po wtóre – użytkowanie jej jest o wiele bardziej intensywne – i buzią, i palcem, i o podłogę. Po trzecie wreszcie – według skromnych wyliczeń, tylko nasz Instytut w ciągu minionego dziesięciolecia nie był w stanie wydać około 20 mln zaplanowanych egzemplarzy. Powód? Zmniejszone przydziały papieru i ograniczenie możliwości druku. To zaś, co wydaliśmy, jest na znacznie gorszym poziomie edytorskim, stąd też ma i o wiele krótszy żywot.

– Książki adresowane do tak zróżnicowanego odbiorcy – od nie umiejących czytać maluchów, poprzez uczniów szkół podstawowych, na dorastającej młodzieży skończywszy, powinny jednak spełniać określone wymagania. Czytelników bowiem nie obchodzą pańskie kłopoty – oni oczekują na piękny papier, bogate, różnorodne ilustracje, twardą okładkę i porządnie zszytą, nie klejoną całość. Czy ma pan możliwości, świadomie rezygnując np. z wysokiego poziomu edytorskiego jednych

Oto pamiątkowy medal wg projektu Stanisława Sikory, którym – jak głosi dedykacja – uhonorowani zostali „Twórcy i przyjaciele dziecięcej książki". A zebrało się ich w ciągu całego sześćdziesięciolecia niemało...

Fot. **S. Rutkowski**

Wejście do portu jachtowego w Rodos

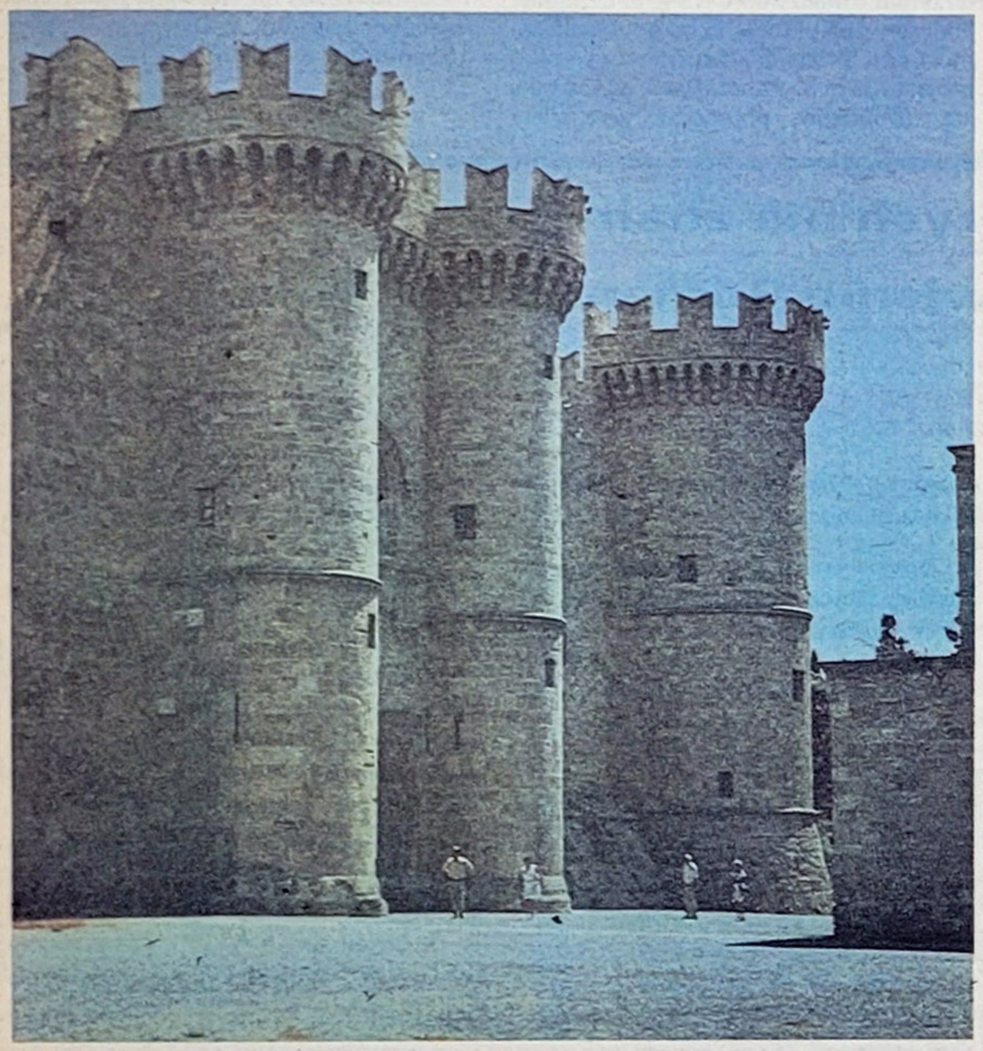

Dziedziniec przed zamkiem w Rodos

Żeglarska przygoda Marka (3)

Na wyspie RODOS

Iraklion opuściliśmy jak każdy port przed nocą. Pełen wrażeń twardo spałem na swojej kei w mesie. Tymczasem wiatr, który sprzyjał nam do tej pory, zaczął tężeć i rozhuśtał morze. Gdy rankiem wyjrzałem przez bulaj (tak nazywa się po żeglarsku okno) wydawało mi się, że płyniemy między górami wody. Dorośli uwijali się na pokładzie zalewanym falami i refowali żagle. Refowanie polega na nawijaniu grotżagla na bomie, czyli zmniejszaniu jego powierzchni. Duży fok zastąpiono malutkim fokiem sztormowym. Chociaż żagle wyglądały teraz jak małe skrawki prześcieradła, jacht gnał półwiatrem (w półwietrze wiatr wieje prostopadle do burty) wzdłuż brzegów Krety szybko do przodu, kursem na wyspę Rodos.

Wiał charakterystyczny dla tego akwenu wiatr północny zwany meltemi.

Rankiem wyrwał mnie ze snu okrzyk: „Marku, Marku na pokład!" Jak z procy wyskoczyłem z koi. Morze było już spokojne. Wokół jachtu słychać było dziwny pisk i pluski. To delfiny płynęły najpierw pod wodą wzdłuż jachtu, wyskakiwały kilka metrów przed dziobem, dawały nura, zawracały, znów płynęły wzdłuż, znów wyskakiwały po dwa, po trzy naraz, znów dawały nura i znów zawracały. Wspaniały widok!

Działo się to w pobliżu wyspy Rodos u wejścia na kotwicowisko w Lindos. Kotwicowisko jest to zatoka, lub osłonięte miejsce, w którym nie ma portu, ale można stanąć bezpiecznie na kotwicy.

Wąskim przejściem między skałami wpływamy do sporej zatoki. Z lewej strony wznosi się wspaniały zamek otoczony białymi domkami i zielonymi winnicami. Na wprost wejścia rozpościera się długa, piaszczysta plaża, wzdłuż której na niebieskiej wodzie kotwiczy dużo białych jachtów.

Miasto Lindos słynęło już 1000 lat p.n.e. ze świątyni Ateny. Pochodził stąd mistrz Chares, który odlał w metalu, zaliczany do siedmiu cudów świata antycznego, posąg greckiego boga słońca – Heliosa, ustawiony u wejścia do portu w Rodos. Później powstała tu bizantyjska twierdza, aż wreszcie obecny zamek postawili rycerze zakonu Joanitów. Po drugiej stronie zamkowego wzgórza mieni się jak drogocenny kamień niewielka zatoczka zwana Portem Świętego Pawła. Popłynęliśmy 25 mil morskich do portu w Rodos.

Port jachtowy znajduje się na miejscu portu antycznego. To właśnie tutaj, u jego wejścia stał słynny posąg Heliosa. Posąg jeszcze w starożytności zburzyło trzęsienie ziemi, a teraz główki wejściowe zdobią stojące na kolumnach jelenie.

Wśród wielu jachtów spotkaliśmy jacht rodziny włóczęgów, składającej się z rodziców i dwóch nieco starszych ode mnie chłopaków. Pływają oni jachtem przez cały rok, mieszkając na nim. Ich jacht nie jest tak wymuskany jak inne, masa na nim różnych rzeczy potrzebnych do codziennego życia, na linkach suszy się bielizna. Określenie „włóczędzy" jest dla nich niewłaściwe. Lepiej pasuje – rodzina obieżyświatów, którzy wędrują od portu do portu. Chłopcy są bardzo mili i zdyscyplinowani. Morze jest dobrą szkołą.

Rodos obchodziło jakieś święto. Wieczorem setki rakiet i rac rozpryskiwało się w snopy tysięcy różnokolorowych gwiazdek. Jasno było jak w dzień. Po fajerwerkach oglądałem na zamku widowisko „światło i dźwięk". Kolejno, jak biegła opowieść, zapalały się światła na murach i blankach, a reflektory rzucały snop białego i czerwonego światła. Czerwień oznaczała wojnę i pożary. Zamek jest doskonale zachowany i gdy za dnia stanęliśmy przed basztami wejściowymi myślałem, że za chwilę wyskoczą z nich rycerze zakonu Joanitów, zakuci w stalowe zbroje okryte białymi płaszczami.

Rodos – prócz olbrzymiego zamku – posiada dobrze zachowane stare miasto. Gdyby nie sklepiki z pamiątkami i spacerujący turyści, można by sądzić, że czas cofnął się kilkaset lat. Stare miasto obwarowane potężnymi murami otacza głęboka 10 m i szeroka 30 m fosa. Rosną w niej krzewy róż, z których słynie, i które ma w herbie Rodos. Biegają w niej sarenki.

Dostałem tu obiecanego za dobre sprawowanie „żelaźniaka" i pomagałem kapitanowi kupować drugiego na prezent, bo dorośli nie znają się tak dobrze na metalowych autkach na resorach. Oprócz zakupów i zwiedzania dużo czasu spędzaliśmy na pełnej malutkich, gorących kamyków, plaży.

Miły czas szybko minął. Zająłem swoje ulubione miejsce obserwacyjne w łuku nadbudówki zwanym przez żeglarzy skajlajtem (co z angielskiego znaczy „światło z nieba") i popłynęliśmy dalej.

MARIAN LENZ

Fot. **autora**

Na kotwicowisku w Lindos

I NIEWYPAŁACH

pozycji, niejako ich kosztem wydać inne we wspaniałej szacie?...

– Przecenia pani moje możliwości manewru, bo przypuśćmy, że zaplanujemy sobie wydanie jakiejś książki właśnie na doskonałym papierze, w twardej okładce, z pięknymi, kolorowymi ilustracjami. I co z tego, kiedy w trakcie produkcji, często w ostatniej chwili, okazuje się, że papier nie jest taki, jaki być powinien, farby są kiepskie, a na dodatek dzwonią z drukarni z pytaniem, czy godzę się na miękką oprawę, bo właśnie zepsuł się agregat. I jak w takiej sytuacji mam się nie zgodzić, wiedząc, że w przeciwnym razie książka będzie czekać na okładkę pół roku, rok. Więc rezygnuję, idę na pewne ustępstwa pod przymusem, bo ładnie bym wtedy wyglądał z planem!

– Czy o tym planie, którego jedynymi pewnymi elementami są pisarz i redaktor, mówi pan najzupełniej serio? Przecież życie i tak brutalnie weryfikuje wszystkie wcześniejsze ustalenia...

– Jeżeli chcemy, żeby ta firma nadal funkcjonowała, a nawet się rozwijała, to musimy myśleć o przyszłości, niezależnie od warunków w jakich żyjemy. I choć budowa planu z przyczyn, o których mówiłem już wcześniej, jest szalenie skomplikowana – planować trzeba. W ubiegłym roku na przykład zamierzaliśmy wydać 220 tytułów o nakładzie 13 mln egzemplarzy. Trochę klasyki: Tuwima, Andersena, Puszkina, Perrault, kilku autorów współczesnych: Kerna, Musierowicz, Wojtyszkę, Wawiłow. Są wreszcie odkryte drogą naszego konkursu dwa nowe, interesujące nazwiska: Kseni Bagniewskiej i Jacka Nawrota. Niestety, nie wszystkie z wstawianych do planu pozycji ujrzą światło dzienne – brak papieru uniemożliwił mi np. druk wysokonakładowych lektur.

– Książki wydawane przez NK drukowane są aż w osiemnastu drukarniach. Pytać, które z nich z zasady partaczą, a z pracy których jest pan zawsze zadowolony, byłoby – jak sądzę nie na miejscu. Spróbujmy więc może tak: jeśli wydawnictwo ma w zanadrzu jakąś pozycję ekstra i bardzo mu zależy, aby zrobiona została wzorowo, to oddaje ją...

– W pierwszym rzędzie do Krakowskiej Drukarni Narodowej lub Wydawniczej, potem do Łodzi, do Drukarni Dziełowej na przykład. Dobrą książkę może też zrobić Poznań, przed katastrofami zdarzało się to i w Toruniu. To zresztą bardzo skomplikowana sprawa, bo bubel wydawniczy jest z reguły wynikiem rozmaitych kłopotów po drodze.

– Trafił się panu ostatnio jakiś wyjątkowy niewypał?

– To nie wydawcę pytać o to. My dajemy same wypały.

– Wynikałoby z tego, że nie interesuje pana własna, wspaniała, wyspecjalizowana drukarnia, będąca w stanie zaspokoić najbardziej nawet wyrafinowane wymagania grafika oraz potrzeby wiecznie spragnionego dobrych książek czytelnika...

– Wprost przeciwnie. Jest to chyba marzenie każdego wydawcy. Tylko że w tej chwili szansa na jego realizację zależy od tempa wydźwignięcia się Polski z kryzysu. Również i od tego, czy w ramach przedsiębiorstwa – samodzielnego i samofinansującego się – potrafimy zdobyć odpowiednie środki na zakup nowoczesnych maszyn, wysokiej jakości farby, papieru, kleju, materiału fotograficznego i czego tam do produkcji książki jeszcze potrzeba... Z tym, że jeśli już mowa o drukarni, to wyliczam ją na trzecim miejscu spośród swoich marzeń...

– Wobec tego, co jest na pierwszym?

– Zwiększenie nakładów książek o sto procent, co dałoby 25 mln egzemplarzy rocznie. Gdyby nie wąskie gardło poligrafii i niedostatki papieru, mógłbym startować już od dziś, bo z punktu widzenia wydawniczego NK nie potrzebowałoby zatrudnić ani jednego człowieka więcej.

– Myśli pan, że ta ilość zaspokoiłaby wszystkie apetyty?

– Nie wiem. Może nawet byłoby tego nieco za wiele, bo jak na razie skutecznie pracujemy nad tym, aby te apetyty zgasić. I wcale nie jestem pewien czy w sytuacji, kiedy dziecko wychowuje się bez książki, nie pojawi się jakaś tam kolejna generacja, która już nie odczuje potrzeby czytania...

– Może nie będzie aż tak źle? A jakie jest to drugie marzenie?

– Uprawnienia do importu i eksportu książki.

– Czyżby ich Nasza Księgarnia do tej pory nie miała? Zrealizowano przecież w ub. roku zamówienie eksportowe 15 tytułów w nakładzie ponad 300 tys. egzemplarzy, trochę literatury przekładowej też się na naszym rynku znalazło...

– To są dwie zupełnie różne sprawy. Na handel książkami istnieje monopol państwowy – zajmuje się tym wyspecjalizowane wydawnictwo Ars Polona – i ono w zdecydowanej większości przejmuje wszelkie płynące z tego tytułu zyski. Natomiast gdybym ja miał te uprawnienia, a co za tym idzie – bardziej konkretne korzyści finansowe i swobodę działań – to od czasu do czasu mógłbym kupić wysokiej klasy papier, czy wydrukować coś za granicą. Wcale zresztą nie jestem pewien czy biorąc pod uwagę niesolidność wykonawców i wzrost kosztów produkcji książki u nas, nie będzie to w przyszłości bardziej opłacalne. Inna byłaby też rozmowa z kolegami drukarzami, gdybym z miejsca mógł np. dać te parę dolarów na zakup śrubki, z powodu której ich maszyna stoi, a mój plan leży. A tak to mam związane ręce...

– Dziękując za rozmowę życzę panu i pańskiemu wydawnictwu swobodnych rąk oraz wspaniałych autorów, zaś sobie – w imieniu spragnionych czytelników, nieustannej obecności pięknych książek w księgarniach.

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

TADEUSZ TAŃSKI – pionier polskiej techniki motoryzacyjnej

Jednym z pierwszych i najbardziej znaczących dla początkowego okresu polskiej techniki motoryzacyjnej, a więc pionierem tej dziedziny w Polsce, jest niewątpliwie inż. Tadeusz Tański.

Urodził się 11 marca 1892 roku w Warszawie. Był synem Czesława Tańskiego, malarza i znanego propagatora lotnictwa. Czesław Tański jako pierwszy w Polsce zbudował szybowiec nazwany przez niego „Lotnia" i na nim dokonał kilku lotów ślizgowych; dlatego jest uznany jako „ojciec" polskiego szybownictwa. Zaprojektował też śmigłowiec napędzany siłą ludzkich mięśni oraz budował samolot. Nic przeto dziwnego, że Tadeusz, który już w dzieciństwie stykał się z techniczną twórczością swego ojca, zainteresował się techniką.

Tadeusz Tański, po ukończeniu warszawskiej szkoły handlowej, wyjechał do Paryża, gdzie podjął studia wyższe w Ecole d'Electricite Industrial de Paris, w której potem, po otrzymaniu dyplomu, pracował naukowo przez dwa lata. Następnie, pracując we Francji realizował zamówienia tamtejszych różnych firm na silniki, samochody, ciągniki odnosząc w tym sukcesy. Wiele własnych nowatorskich pomysłów opatentował.

W 1916 roku skonstruował największy w świecie silnik lotniczy o mocy 520 KM. W 1917 roku produkował masowo opracowany przez siebie dwusuwowy silnik przeznaczony do napędu prądnic radiostacji lotniczych. W 1918 roku zbudował gwiazdowy, czterocylindrowy silnik „Wir" typu wirującego przeznaczony dla lekkich samolotów. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej powrócił do już niepodległej Polski.

Swoją twórczą działalność w kraju rozpoczął w wojskowych Centralnych Warsztatach Samochodowych mieszczących się w Warszawie przy ul. Terespolskiej. Tu w 1919 roku opracował opancerzenie dla podwozia samochodowego typu Ford T. Pewna ilość tych lekkich dwuosobowych samochodów pancernych, z ciężkim karabinem maszynowym w obrotowej wieżyczce, została wyprodukowana przez CWS. W późniejszych latach, T. Tański opracował silnik samochodowy T-1, produkowany w dość dużej ilości. Stosowany on był w różnych odmianach samochodu CWS T-1, też przez niego opracowanego (o samochodzie tym będziemy pisać w następnym odcinku), oraz do napędu, ściągarki balonów obserwacyjnych, jak też jako przyczepny silnik napędowy do saperskich pontonów. W 1929 roku opracował dwa nowe typy silników: czterocylindrowy T-4 i ośmiocylindrowy T-8 o wspólnych częściach, pierwszy z nich miał pojemność skokową 1500 cm^3 (drugi – 3000 cm^3). Ciekawostką konstrukcyjną silnika ośmiocylindrowego było to, iż zastosowano w nim dwa odpowiednio połączone ze sobą i podparte na trzech łożyskach, wały korbowe silnika czterocylindrowego. Oba nowe silniki były bocznozaworowe, z głowicami typu Ricardo, dającymi możliwość używania benzyny o niskiej liczbie oktanowej. Jak pierwszy – silniki te miały w boku skrzyni korbowej obszerne otwory, zamykane ręcznie zaciskami-pokrywami, które umożliwiały kontrolę wnętrza ale też i wykonywanie tam niektórych prac montażowych. Również i te silniki mogły być rozbierane tylko jednym kluczem. Ośmiocylindrowy silnik został zamontowany na podwoziu samochodu CWS T-1; prototyp nowego samochodu otrzymał oznaczanie CWS T-8. Czterocylindrowy zamontowano na podwoziu samochodu Skoda okarosowanym według projektu inż. S. Panczakiewicza, później już uznanego polskiego specjalisty w dziedzinie nadwozi samochodowych; ten prototyp otrzymał oznaczenie CWS T-4. Później twórczość Tańskiego jakby przygasła, prawdopodobnie w następstwie uruchomienia w wytwórni samochodów Polskich Zakładów Inżynieryjnych licencyjnych samochodów włoskiej firmy FIAT (Polskie Zakłady Inżynieryjne powstały w 1927 roku m. in. obejmując CWS i też produkujące samochody Zakłady Mechaniczne „Ursus"). Tański w tym czasie tworzył już mniej znaczące konstrukcje, m. in. opracował kolejowe podwozie dla autobusu umożliwiające mu jazdę również po szynach kolejowych. 3 lipca 1940 roku został aresztowany przez hitlerowców i osadzony w Oświęcimiu, gdzie go zamordowano 23 marca 1941 roku.

LESZEK KOMUDA

Ptaki, których nie znamy

Na zamówienie Romana Kuli z Krobi:

KRWAWODZIÓB CZY KRWAWONÓG?

Jedyny w swoim rodzaju ptasi koncert, jaki tylko wczesną wiosną rozlega się wśród łąk i zalewisk, nie byłby tym, czym jest, gdyby zabrakło w nim głosu **brodźca krwawodzioba**. Od całego ptasiego (i żabiego) chóru odcina się on wyraźnie; metaliczny, czysty i donośny – rzekłbyś, że to ktoś upuścił na szkło metalową kulkę. „Tili-li, ti-li" – powtarzane co rusz, to zwrotka podstawowa. Gdy przechodzi ona w dźwięczne trelowanie, zbliżone do głosu skowronka borowego – to znak, że samiec zaczął tokowanie. Z kolei urywane „di, di" – jest świadectwem niepokoju.

Brodźce krwawodziobe powtarzają te swoje nieskomplikowane, choć ładne zwrotki tak gorliwie, iż wydają się, że musi być tych skandujących ptaków bardzo dużo. Ale to złudzenie. Gatunek ten nie jest zbyt liczny, na ogół ustępuje liczebnie rycykowi, nie mówiąc już o czajce. Ale w porze lęgowej odnaleźć go nietrudno, bowiem zamieszkuje specyficzny biotop. A mianowicie – rozległe łąki nadrzeczne, gdzie suche, trawiaste miejsca przeplatają się z grząskimi zastoiskami wody. Wysokich szuwarów, trzcin i krzewów krwawodziób nie toleruje, choć może żyć w ich bezpośrednim sąsiedztwie, również wszelkie leśne torfowiska są mu zupełnie obce.

Jest ptakiem nieco większym od drozda i do tego szarym, więc niezbyt łatwym do zauważenia. Ale jest jeden szczegół, który nam to ułatwi. Otóż brodziec ma spód skrzydeł intensywnie biały, a gdy wyląduje, przez chwilę trzyma je wysoko uniesione do góry. Dzięki temu już z daleka widać jasny punkt – jakby nagle wśród traw zapaliło się światełko. Co do nazwy „krwawodziob" – to zaledwie częściowo jest ona trafna, bo dziób ptaka tylko u nasady jest czerwony, a na końcu – prawie czarny. Co innego nogi... Wyglądają tak, jakby ptak dopiero co wyszedł z puszki wypełnionej czerwoną farbą. Może więc lepsza byłaby nazwa „krwawonóg"? Raczej nie, bo czerwone nogi ma także inny gatunek – brodziec śniady.

Zwyczaje tego brodźca niewiele odbiegają od tych, jakie właściwe są jego krewniakom. Zaraz po przylocie ptaki te – podobnie jak inne brodźce, rycyki, a nawet czajki – żerują w płytkiej wodzie, spędzając tu większość dnia. Później zaczynają się toki, kiedy to samiec obiega wokół samicę, stroszy się, ściga ją po łące. Gniazdo zakładają krwawodzioby około połowy kwietnia na otwartym, trawiastym terenie. Samiec zwykle przygotowuje kilka dołków, z których samica wybiera jeden. Jest to w ogóle zwyczaj wielu ptaków siewkowatych i pilny obserwator może w tym czasie znaleźć na łąkach wiele takich nie wykorzystanych dołków pozostałych po czajkach, rycykach itp. Gniazdo krwawodzioba jest lepiej ukryte, niż czajki czy rycyka; leżą w nim równiutko ułożone jajka o barwie płowożółtej, pokryte fioletowymi plamami. Pilniejszy w wysiadywaniu jest prawdopodobnie... samiec. Charakteryzuje to, jak się wydaje, większość brodźców.

Gdy po 22–24 dniach wylęgną się młode, dorosłe krwawodzioby, dotąd związane z płaską łąką, naraz zaczynają się interesować wysokimi przedmiotami, kamieniami, słupkami, drzewami. Widziałem raz, jak brodziec parę razy z rzędu próbował usiąść na izolatorze słupa telefonicznego, ale ześlizgiwały mu się zeń nogi. Wszystko to ma na celu pilne śledzenie wędrówek piskląt, które już w parę godzin po wykluciu opuszczają gniazdo. Zwyczajowi siadania na wyniosłych miejscach hołdują też m. in. rycyki. Kiedyś widziałem wśród łąk uschnięte drzewo, na którego gałęziach stało wiele długonogich ptaków. Były tam rycyki, brodźce i bekasy, wypatrujące swych ukrytych w trawie pociech. Nie zdążyłem niestety, sfotografować tego drzewa, wyglądającego po trosze jak choinka ubrana dziwnymi świecznikami, bo na widok teleobiektywu całe to bractwo rozpierzchło się z hałasem. Najbardziej pomstowały krwawodzioby. Gdy wejść na teren, gdzie kryją się ich pisklęta, oblatują one człowieka z nieustannym lamentem i nie uspokajają się tak długo, dopóki nie opuścimy ich przybytku.

Ale gdy młode podrosną – stare zostawiają je na łasce natury i wyruszają (już w czerwcu) na wędrówkę. Młode podążają ich śladem po kilkunastu dniach.

Obok krwawodzioba – widujemy u nas jeszcze wiele innych brodźców z rodzaju *Tringa*. Są to: większy od krwawodzioba brodziec **kwokacz** o nieco zadartym dziobie i zielonkawych nogach, ale odzywający się dość podobnym głosem, także trochę większy od naszego bohatera **brodziec śniady,** mający w szacie godowej upierzenie czarne i czerwone nogi, mały, wielkości szpaka, **brodziec pławny** o bardzo cienkim dziobie, lubiący – jak wskazuje nazwa – pływać, wielkości skowronka **brodziec leśny,** który – wbrew nietrafnej nazwie – pojawia się u nas na otwartych łąkach, podobny do niego, ale znacznie bardziej związany z lasem **brodziec samotny,** o którym była tu mowa rok temu, nieco mniejszy **brodziec piskliwy** – mieszkaniec żwirowatych nabrzeży i dzikich plaż oraz bardzo rzadko się pojawiający brodziec **terekia** o wyraźnie zadartym dziobie i krótkich nogach. Z tu wymienionych, obok krwawodzioba, gnieżdżą się u nas: brodziec piskliwy i samotny (oba w miarę licznie) i prawdopodobnie brodziec leśny. Inne zjawiają się tylko podczas wędrówek, trwających jednak nieprzerwanie od wczesnej wiosny poprzez lato do jesieni. Dzięki temu ptaki te są w tym czasie stałym – choć mało zauważanym – składnikiem nadwodnego krajobrazu.

Tekst i zdjęcia
TOMASZ KŁOSOWSKI

Brodźce pławne na pierwszy rzut oka wyglądają jak kaczki, czy inne ptaki wodne

Krwawodziób w pełnym biegu...

Nawet porzucona na łące puszka po konserwie może stanowić osłonę dla gniazda

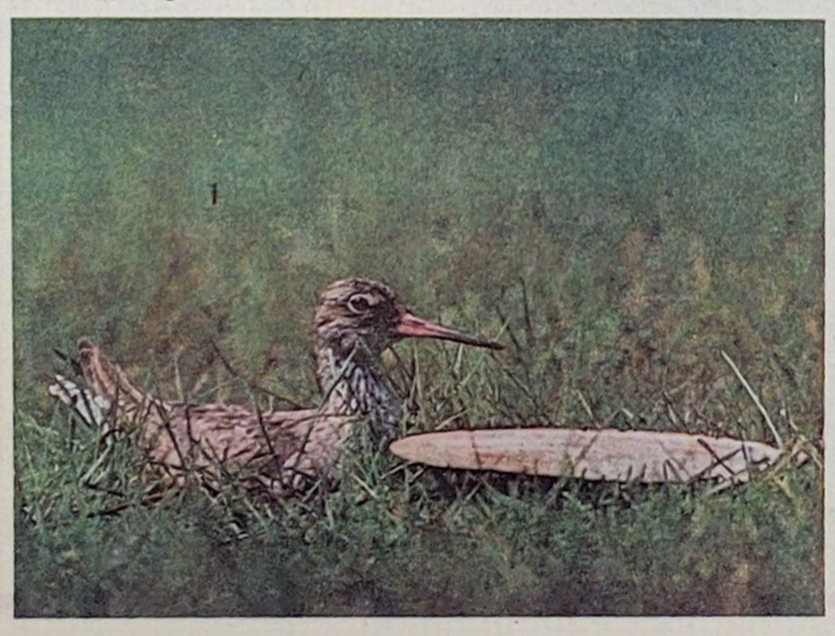

Gdy porywa się do lotu, lub gdy ląduje – spód jego skrzydeł świeci jak biała chorągiew

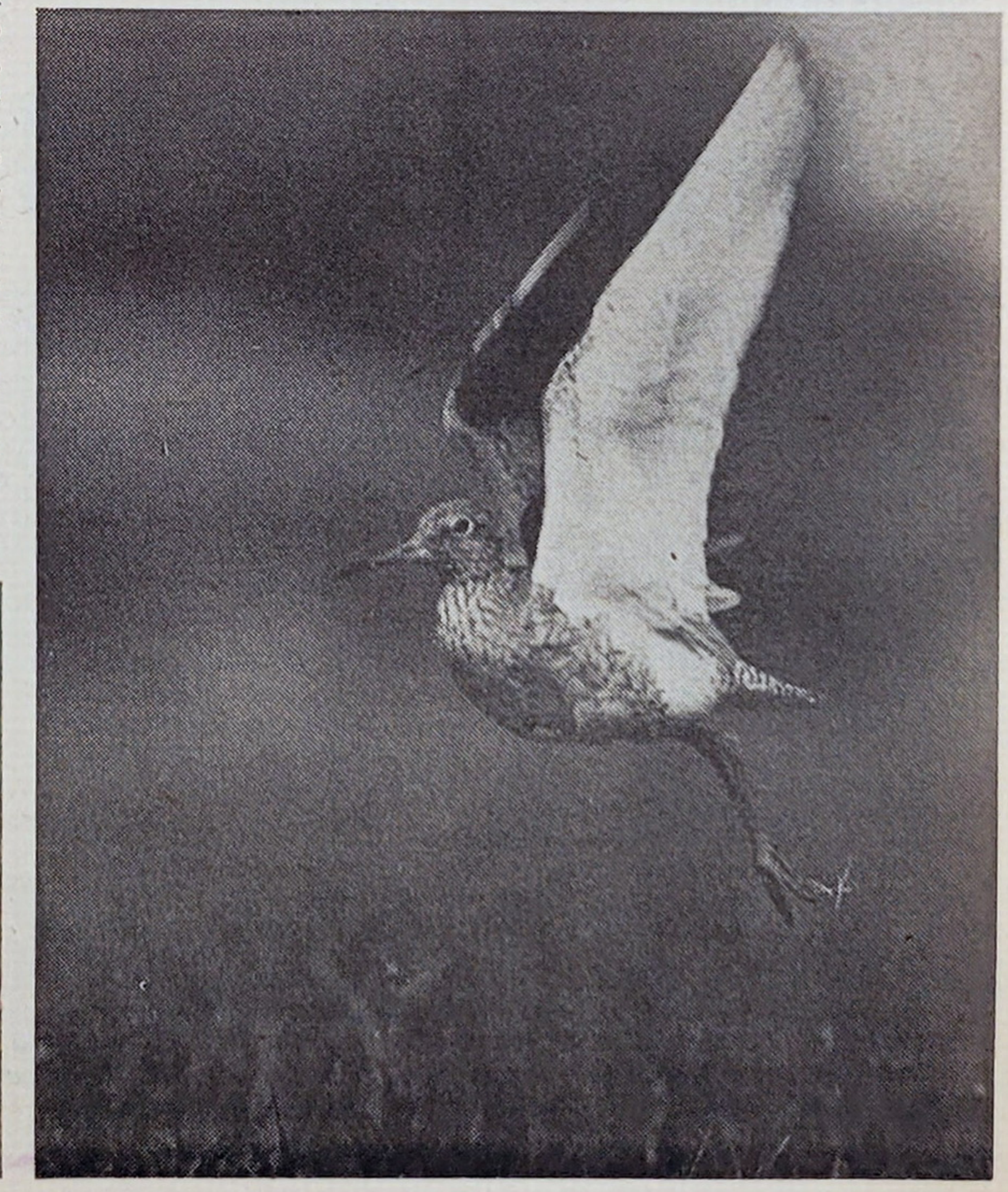

PRZED DECYZJĄ

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Stanowczość

Pewność co do trafności podjętych decyzji jest różna u różnych ludzi. Jeden jest absolutnie przekonany, że wybrał najlepiej jak mógł, inny ma wątpliwości. Im większy jest stopień zdecydowania i większa stanowczość tym bardziej podjęta decyzja zbliża się do dojrzałej.

Renata O. z Ostrzeszowa pisze ładny list o zawodzie pielęgniarki. Wydaje się, że jest absolutnie zdecydowana i nagle pojawia się mała uwaga: *„...jeszcze jest jeden zawód, który bardzo lubię, ale jest to nierealne. Marzę o pracy piosenkarki...”*. Po tym długi wywód o nie spełnionych marzeniach.

Z kolei Piotr K. z Wolbromia pisze *„...wiem, że zawód elektryka jest dla mnie najlepszy i jestem zdecydowany na technikum elektryczne. Marzy mi się jednak praca trenera. Sportem interesuję się od dawna, uprawiam go intensywnie”*.

Renata i Piotr mają wątpliwości, choć pozornie zdecydowali się w 100 procentach. Prawdopodobnie też stanie się tak, jak piszą; Renata pójdzie do liceum medycznego, a Piotr do technikum elektrycznego. Trudno jednak uznać obydwie te decyzje za stanowcze.

Autonomiczność

Decyzja o wyborze szkoły średniej, a więc i wyborze przyszłego zawodu jest decyzją Waszą. Nie znaczy to, że nikt nie ma na nią wpływu.

Leszek M. z Kamieńca pisze *„...największy wpływ na to, że wybrałem zawód lotnika, mieli moi rodzice...”*.

Renata R. z Rebizantów pisze *„... największy wpływ na wybór zawodu pielęgniarki miał mój pobyt w szpitalu, potem praca mojej bratowej, której nieraz pomagałam oraz to, że moja koleżanka też chce być pielęgniarką, a my nie możemy się rozstać”*.

W obu listach pojawiają się osoby mające największy wpływ na podejmowane przez Was decyzje zawodowe, a więc rodzice i rówieśnicy. Nie ma w tym nic dziwnego, iż „przymierzając się” do jakiejś decyzji szukamy poparcia u naszych bliskich, ich akceptacji.

Kiedy więc decyzja zawodowa jest w pełni autonomiczna? Będzie taką wtedy, gdy np. Krzysiek po wysłuchaniu wszystkich racji rodziców i kolegów zadecyduje SAM.

Większość z Was pisze, iż uważa siebie za zupełnie dojrzałych do wyboru przyszłego zawodu. Niewielu pokusiło się o próbę wyjaśnienia dlaczego swoją decyzję uważa za taką właśnie. Z listów, które nadeszły, tylko Mirka R. z Wałbrzycha pisze *„... nie czuję się jeszcze w pełni dojrzała i przygotowana. Potrzebuję czyjejś rady, pokazania wybranego zawodu z różnych stron.”*

Zapamiętaj

Na skutek przerwy w pracy naszej redakcji nie mogliśmy pomóc Wam, ósmoklasistom, tak, jak zakładały to nasze plany. Dlatego teraz właściwie w ostatnim momencie przypominamy o najważniejszych zasadach, którymi należałoby się kierować przy wyborze szkoły średniej, a więc i przyszłego zawodu.

- **Twój przyszły zawód musi Cię interesować, inaczej nigdy go nie polubisz**
- **Abyś osiągnął w nim dobre wyniki musisz przejawiać określone zdolności – zastanów się, czy je posiadasz?**
- **Pomyśl o własnym zdrowiu, czy pozwoli ci ono uprawiać zawód, który wybrałeś?**
- **Czy Twoje cechy charakteru pomogą Ci w osiągnięciu dobrych wyników w pracy**
- **Wybieraj zawód, a nie szkołę**
- **Wysłuchaj rodziców, kolegów, ale decyzję podejmij sam.**

ANNA BARANOWSKA

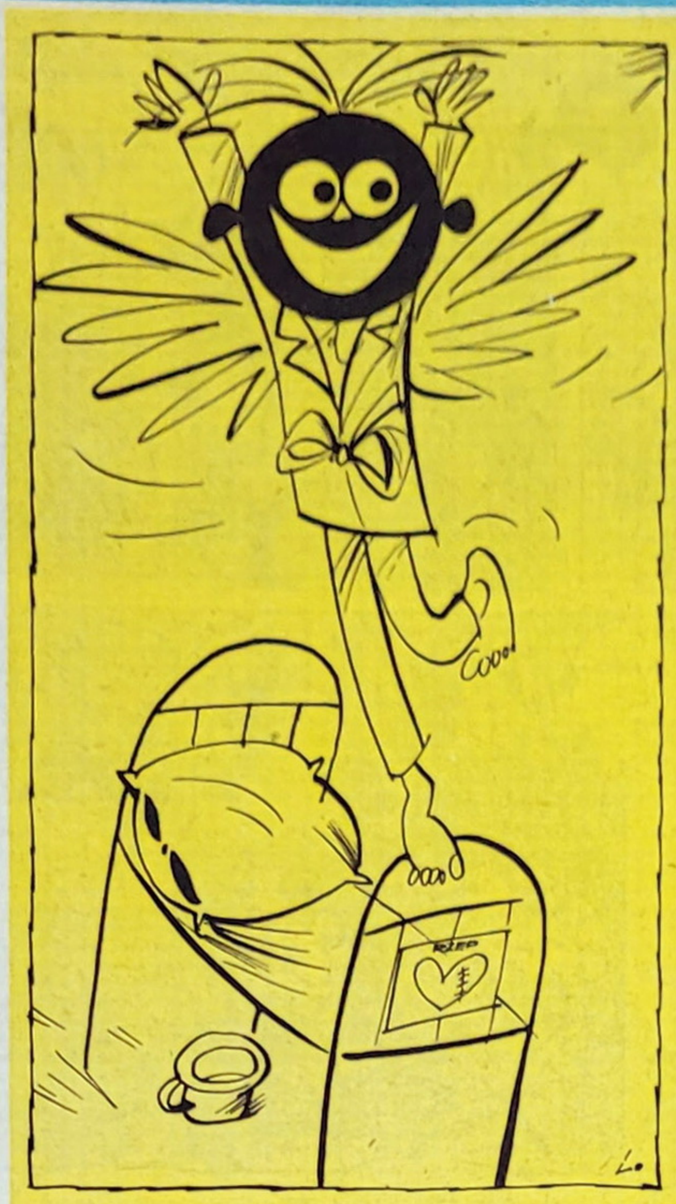

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Kochani!

Nie jestem jeszcze wśród aniołków, co mógłby sugerować rysunek – oto lecę do Was, drodzy Czytelnicy, na skrzydłach i wołam na całe gardło:

CZEŚĆ !!!

Wraz ze mną wita Was cała nasza paczka w komplecie. Mamy tu zamiar pracować dla Was bez wytchnienia! W dzień (*np. Spółdzielnia Pracy Krasnoludków, przygotowuje rozszerzony zakres usług różnych – po nowych cenach*) a także nocy (*Telepatyczne Studio Snów „Świata Młodych” rozpoczyna nadawanie snów – każdemu według potrzeb. Nawiasem mówiąc sny będą na razie czarno-białe z powodu braku zagranicznych barwników*). Otwieramy też BZNL (*Biuro Zmian Na Lepsze*), które już na dziś przygotowało informację własną: **PRZYLECIAŁY SKOWRONKI!** Co, przyznacie, w dzisiejszych czasach nie jest bez znaczenia.

Wszyscy teraz liczą, kalkulują, bilansują i w ogóle żyją z ołówkiem w ręku (*skąd tyle ołówków?!*), więc przyszło mi do głowy, że już najwyższy czas określić naukowo:

MINIMUM KIESZONKOWE NASTOLATKA

Oczywiście w skali miesięcznej. Spróbujmy:

1) „Świat Młodych” zł 60.–
2) ..... tę i następne pozycje dopiszcie według Waszych potrzeb. Gotowe „minimum” przyślijcie mi, a ja, po naukowym przetrawieniu problemu opublikuję wyniki. Ciekawe...

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

PS. Obok – ilustracja dotycząca problemu. Pa!

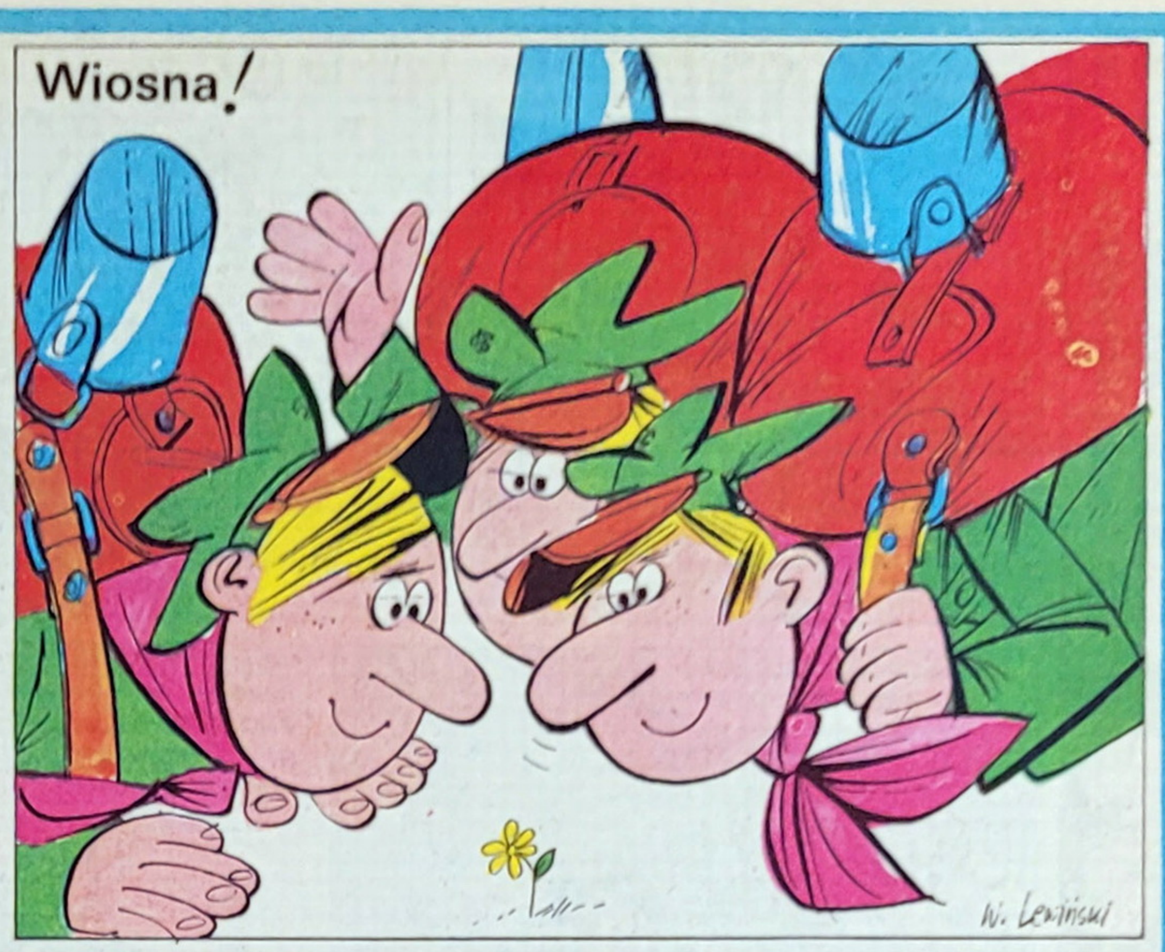

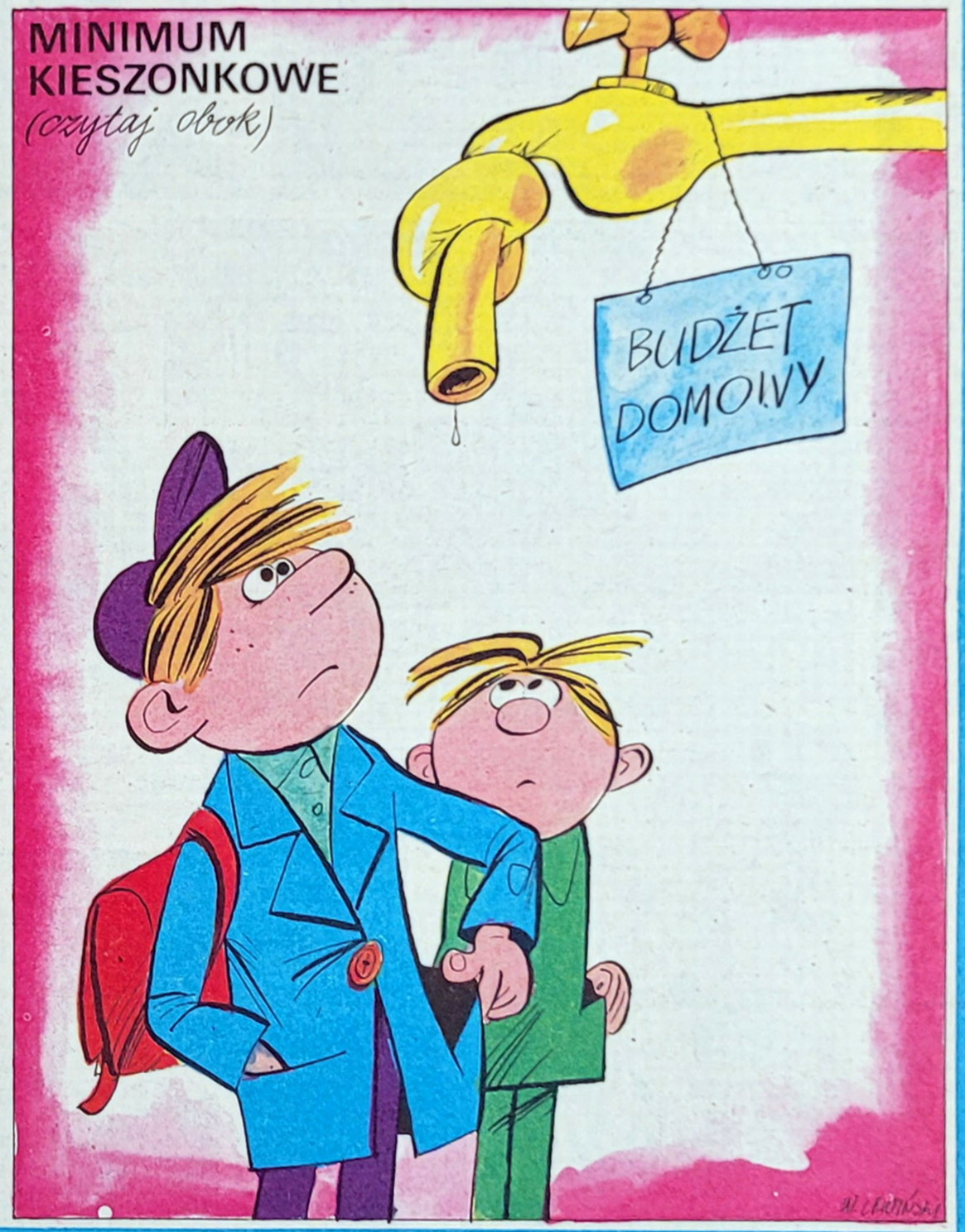

się przydawało, bo wiedziały, że dzieci lubiły trzymać się razem.

Jakie było mieszkanie pani Skos, nikt nie wiedział, bo nikogo do niego nie wpuściła. Po wyglądzie schodów można było sądzić, że za pięknie tam nie było. Z takich ponadgryzanych schodów łatwo też się było stoczyć, gdyby tylko ktoś palcem pchnął z góry.

Pożądanie niebezpieczeństwa kierowało Guziki właśnie w stronę domu pani Skos. W nim zawsze mogło się coś zdarzyć.

Pora była odpowiednia do ryzykowania. Gdyby pani Skos zrzuciła Guziki ze schodów, to uniknęłyby lekcji u Maryni, ale nie straciłyby wakacji. Zostawał do nich jeszcze cały długi miesiąc. W tym czasie by się wykurowały i przyszły do szkoły w sam czas, żeby roczną naukę zakończyć.

Marynia przestrzegała terminów. Udawała prawdziwą nauczycielkę, a swój pokój traktowała, jak prawdziwą szkołę. Tam Krzysztof dzwonił a dzwonił, jakby mu za to płacono.

W dobrym czasie szły Guziki do pani Skos.

W tym samym domu mieszkała na parterze staruszka, której czasem zamietli podwórze lub nanosili drewna do kuchni. Mieli wtedy okazję popatrzeć na schody wiodące do mieszkania pani Skos. Mówiąc prawdę więcej ich obchodziła niż staruszka, której pomagali. Pani Skos była tajemnicą, próbowali ją odgadnąć.

– Żeby kiedy wyszła przed dom!

– Ona nie chodzi.
– Widziałeś?
– Ją nosi...
– Kto nosi?
– Lata nad domem, kiedy śpimy. Na płachcie lata.
– Jest czarownicą?
– Czymś takim, kto wie...

Zaczęli się kłócić, bo trochę się bali, a bardzo chcieli iść do pani Skos.

– To po co jej fiołki? – zawołała Mirka.
– Może lubi powąchać.
– Czarownice nie wąchają – dodała Gabrysia.
– Kto pierwszy wejdzie?
– Tadek.
– Dlaczego Tadek?
– Bo najstarszy.

Tadek nie wyrywał się do tego honoru, coś bąknął o Zuzannie. Alina tymczasem chwyciła ją za rękę i zatrzymała przy sobie.

– Nie pukaj do drzwi, bo się zamknie – poradziła Tadkowi. – Otwórz i przez szparę wsuń fiołki.

Szli po schodach na palcach, gdy nagle drzwi się uchyliły. Zobaczyli, że były zatarasowane fotelem, ale znalazło się jeszcze trochę miejsca do przejścia.

– Przepchnęła się – szepnęła Mirka.

Zobaczyli jaka była wysoka i chuda. Miała twarz białą jak kreda, nad nią skołtunione czarne włosy.

Najpierw kichnęła, ale to tak, że Guziki mało nie zleciały ze schodów. Potem, ciągle w uchylonych drzwiach, wyciągnęła rękę z rewolwerem.

Wypadł jej z rąk, zanim zdążyła wystrzelić. Zresztą nim to się stało, co się w ogóle nie stało, Guziki znalazły się na dole.

Kusił je rewolwer leżący na schodach, ale ważniejsza była pani Skos, która tymczasem wepchnęła się z powrotem do pokoju i narobiła rumoru. Musiało tam być prócz fotela sporo rupieci do tarasowania drzwi.

Zuzka podniosła rewolwer.

– Uciekajcie, strzelam!

Guziki w jednej chwili znalazły się na ganku. Co szybsze pobiegły na podwórze.

– Zostaw, bo wypali! – krzyknęła z ganku Gabrysia. – Czekaj, powiem w domu...

Celowała wprost w Guziki. Ale przecież nie strzelała.

– Lepiej zobaczcie jaki to rewolwer! Hańba nie broń.

Zeszła ze schodów, a oni też podeszli blisko.

Zobaczyli, że był zrobiony z drzewa i pomalowany czarną farbą. Wyglądał jak prawdziwy.

– Tfu! – splunął Tadek. – Oszukaństwo, skandal i w ogóle świństwo pomnożone przez łajdactwo.

Cdn.

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

EKSPERYMENT

SZALONY

ŚWIAT MŁODYCH
WARSZAWSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (zastępca sekr. red.)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Grażyna Kiechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1022/G **Z-61**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Tylko głęboka niewiedza przemawia dogmatycznie. Ten, kto sam nic nie wie, wyobraża sobie, że objawia innym to, czego właśnie się nauczył. Kto wie dużo, nie przypuszcza, by inni nie wiedzieli tego, co on, i rozprawia z mniejszym zapałem.

Często łatwiej i korzystniej przystosować się do innych niż upierać się, aby inni stosowali się do nas.

JEAN DE LA BRUYERE

20

O poranku

Gdy wracała do domu i pospiesznie zjadała śniadanie, rozbrzmiewał już pod oknami dzwonek Krzyśka. Zwoływał nie na lekcje, które w pewne dni odbywały się po obiedzie, lecz na wspaniałą wyprawę.

Zuzka miała już za sobą własne do niej przygotowania i pierwsza zbierała najpiękniejsze fiołki. Gdy inni szukali, ona robiła już malutkie bukieciki i przewiązywała je nitkami. Wtedy miała też swoją dodatkową przyjemność. Robaczki wśród trawy, motyle, śmiałe biedronki wędrujące po rękach i z palców sfruwające w górę sprawiały jej radość.

Wszystko potrafiła wypatrzeć i podsłuchać.

Ptaki hałasowały. O tej porze park zapełniał się szelestem, bzykaniem, krzykiem i zapachem. Każde drzewo pachniało, każda gałązka ustrojona młodziutką zielenią.

Miała teraz okres oderwania od Guzików. Prawie nie lubiła ich głosów. Przeszkadzały w tej porze majowej, pełnej szmerów i śpiewania, gdy przy swych bukiecikach siedziała zamyślona.

– Najpierw do pani Skos! – usłyszała Tadka, który nie mógł się doczekać przygody.

Odwiedziny u pani Skos były zawsze przygodą pełną niespodzianek.

– Za nic w świecie! – zawołała Alina. – Pierwsze fiołki dla naszych rodziców.

– Według alfabetu. Nikogo nie będziemy wywyższać – zgodziły się Guziki z Krzyśkiem na czele. – Do innych też pójdziemy.

– Do lokajowej Kucharczyk.

– Do pani Stanisławy.

– Tam smutno bez pani Ludki.

– I do pani Skos!

– Naturalnie.

Od fiołków zaczynała się w Pogórzu prawdziwa wiosna i fiołkami w domach ją witano.

Zdawało się, że rodzice, a ściślej mówiąc mamy, bo tatusie siedzieli w swoich biurach, szczególnie lubiły odwiedziny dzieci z pachnącymi bukiecikami i wszystkie były wtedy uśmiechnięte.

Tylko pani Skos się nie śmiała. Pewnie nie była mamą. A może daleko miała swoje dzieci.

Nic o niej właściwie nie wiedziano, przynajmniej Guziki nie miały pojęcia o jej życiu. Mieszkała samotna w pobliżu szkółek w połowie drogi między czworakami a zabudowaniami oficjalistów, czyli pracowników administracji, którzy mieli ładne domy wokół gazonu.

Przy wjeździe do tych domów i do zarządu mieszczącego się na tym samym terenie stała murowana budka. Wyglądał z niej strażnik, w zimie i w lecie w tej samej czapce.

Nad drzewami i alejami czuwał ogrodnik. Kury i kaczki nie psuły niczego, bo ich w ogóle nie było, to znaczy nie pozwolono, żeby były. Oficjaliści przy swej ordynarii otrzymywali za brak drobiu dodatkowe wynagrodzenie.

Tak, był wokół domów wzorowy porządek. Jednak Guziki robiły co chciały, bo potrafiły wchodzić w sam środek gazonu i tam w lecie miały swoje własne ocienione schronienie.

Strażnicy ani ogrodnicy, ani mamy, ani nawet Różki i Kasie, zwołujące dzieci nie miały pojęcia o tej kryjówce. A to już było rzeczą zręczności i sprytu każdego z Guzików. Umiały wypatrzeć chwilę, by tam się wślizgnąć i potrafiły dochować tajemnicy.

Z ganku rodziców Aliny można było coś niecoś wypatrzeć, ale nikt nie miał na to czasu. Wszyscy w swych mieszkaniach, z których niekiedy popatrzono z okna byli radzi, gdy dzieci znajdowały się blisko. Zawsze przy gazonie któreś stało na straży. To było zgodne z interesami Guzików, a mamom też

Dokończenie na str. 7